Nr. 48. Poznań, niedziela 1-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Przesilenie
na giełdach europejskich.

Ubiegłe tygodnie na długo pozostaną zapisane w pamięci spekulantów giełdowych. Oddawna już kryzys pieniężny niebył tak powszechnym, jak obecnie, ani też nieobejmował tak obszernego terytoryum i tak różnorodnych walorów, jak to miało miejsce w ostatnich czasach. Wszystkie ważniejsze giełdy europejskie zostały nim dotknięte. Wszędzie dawała się odczuć znaczna depresya, papiery z trudem znajdowały nabywców, i kurs ich spadał coraz niżej.

Paryż był punktem wyjścia, zkąd rozprzestrzeniła się kryzys na resztę europejskich rynków pieniężnych. Szalona spekulacya akcyami południowo-afrykańskich kopalni złota oddawna już groziła zaangażowanym w nią finansistom francuzkim gruntownym krachem. Niestety ani zawodowi bankierzy, ani też publiczność paryzka, niezaprzestawali gry na zwyżkę. Formalna gorączka opanowała stolicę Francyi. Każdy szanujący się finansista, mąż stanu, „homme de lettres“ nawet, musiał posiadać afrykańskie walory złote. Dziś nadszedł zwykły w takich razach smutny koniec. Nadmiernie wyśrubowana cena akcyi dosięgła swego maximum. A wtedy nastąpiła nasamprzód stagnacya. Kurs utrzymywał się czas jakiś na tej samej stopie. Posiadacze walorów, którzy rachowali na dalszą jeszcze zwyżkę, poczęli się ich pozbywać, by módz zapłacić przegrane różnice. Pod wpływem zwiększonej podaży poczęła się zniżka, początkowo powolna, lecz z każdą chwilą coraz szybsza, coraz raptowniejsza. Wreszcie rozległo się fatalne słowo „invendable“. Kryzys był w całej pełni.

Krach afrykańskich walorów złotych pociągnął za sobą natychmiastową zniżkę i wszystkich innych papierów na giełdzie paryzkiej, olbrzymie bowiem straty, poniesione przez najpoważniejsze nawet firmy, zrodziły większe nad zwykłą normę zapotrzebowanie brzęczącej monety. Strach przed zbliżającą się likwidacyą rzucił na rynek pieniężny nadmierną ilość wszelkiego rodzaju papierów. By módz spłacić poniesione straty, każdy niósł na giełdę posiadane przez się wartości. Im zaś trudniej znajdowały one nabywców, tem większą była obawa publiczności przed 6-tym listopada, dniem obrachunków. Brak popytu rodził panikę a panika zniżała jeszcze bardziej kursy.

Oczywiście, najn żej spadły papiery tych instytucyj, co się najwięcej zaangażowały w spekulacyę kopalniami złota. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić „Banque Ottomane“. Porobił on znaczne zakupy złotych walorów, wciągając do tej spekulacyi całą swą klientelę. To też kurs jego akcyj spadł z przerażającą szybkością. Stoi on dziś o 100 fr. niżej, niż przy ostatniej likwidacyi. Równocześnie poczęto gorzej notować i wszystkie tureckie papiery, któremi Bank otomański głównie spekulował. Bezwarunkowo nie da się zaprzeczyć, że bezpośrednią przyczyną ogólnej zniżki kursu był krach walorów kopalni złota i papierów tureckich. Naiwnem wszakże byłoby utrzymywać, iż był on jedyną przyczyną tak powszechnej, bo obejmującej wszystkie europejskie rynki, depresyi. Nieraz już bowiem widzieliśmy groźniejsze nawet krachy poszczególnych instytucyj finansowych, a jednak niemiały one tak rozległych i zasadniczo złych konsekwencyj. Nie należy też zapominać, że jedynie paryzka i londyńska giełda na seryo zaangażowane były w s e kulacyę złotemi walorami. W Berlinie zaś, w Frankfurcie i Wiedniu publiczność trzymała się od niej zdala. Jedynie niektóre firmy bankowe próbowały w niej szczęścia. Tymczasem, zarówno niemieckie, jak i austryackie walory spadły nie mniej od papierów francuzkich. Musiały więc już oddawna stalsze i głębsze przyczyny przygotować grunt dla powszechnego spadku, który w ubiegłym tygodniu ogarnął całą Europę. Krach zaś afrykańskich walorów złotych przyspieszył tylko ich działanie, zmieniając powolny odwrót w paniczną ucieczkę déroute).

I w samej rzeczy, ogólny stan finansowy Europy zmienił się zasadniczo w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy. Złożyły się na to dwa nader ważne czynniki. Nasamprzód polityczna sytuacya, która od dłuższego czasu nie wzbudzała żadnych zgoła obaw, poczęła naraz być dość niepokojącą. Giełdy przywykły już były niemal nieracho wać się wcale ze światem dyplomacyi, gdy naraz wyrwały je z błogiego spokoju: sprawa armeńska, wieści o umowie Rosyi z Chinami etc.

O wiele jeszcze silniejszym był wpływ drugiego, tj. ekonomicznego czynniku. Rynki europejskie przepełnione były do niedawna jeszcze pieniędzmi. Ztąd to i nizka stopa procentowa, i znaczne ożywienie spekulacyj giełdowych, i wyższy kurs papierów wartościowych. W ostatnich wszakże czasach handel i przemysł zapotrzebował znacznych sum pieniężnych. Stagnacya bowiem rolnicza, przybierająca coraz poważniejsze rozmiary, unieruchomiła olbrzymie kapitały w zapasach cukru i zboża a po części i wszystkich innych towarów. Produkcya rolnicza i rolniczo-przemysłowa nieznajduje zbytu. Zużyte przez nią zasoby pieniężne niedają się zrealizować. Wyrwane z obrotu kapitały niewracają doń wcale, a przynajmniej ponowny ich dopływ jest zbyt powolnym. Tymczasem przemysł fabryczny poczyna się ożywiać. Zapotrzebowanie na kapitał obrotowy wzrasta. Pieniędzy coprawda niebrak, lecz znalazły one inne przeznaczenie. Rozproszono je w formie płac zarobkowych i różnorodnych kosztów produkcyi. Dla przemysłu więc jak gdyby nie istniały. Tylko skupione w większe sumy, posiadają one dlań znaczenie. Należy przeto czekać, aż nagromadzone zasoby wytworów rolniczych i rolniczo-technicznych przybiorą napowrót swą pieniężną postać, a póki to nie nastąpi, musi się przemysł zwracać o pomoc do instytucyj finansowych.

W ten sposób odpływają kapitały z giełd do fabryk i handlu. Cyrkulacya ich staje się znacznie powolniejszą i stopa procentowa wzrasta.

Banki wysyłają też coraz pokaźniejsze sumy swym klientom i prowincyonalnym filiom, klienci bowiem wycofują coraz powszechniej swe depozyty, banki zaś ze swej strony lokują chętniej kapitały w handlowych i przemysłowych przedsiębiorstwach, niż w walorach, traktując papiery wartościowe jedynie jako ruchomą rezerwę. Giełda nie jest bynajmniej właściwym terenem ich czynności. Zbywające tylko sumy poświęca się spekulacyom, lecz i to z zastrzeżeniem, iż przy pierwszej korzystnej okazyi umieści się je w pewniejszych i stalszych lokacyach. Oczywiście, jak wszędzie tak i tu należy zachować pewną miarę. Raptowna wyprzedaż posiadanych walorów bywa nieraz zbyt ryzykowną, przyprawiając o nadmierne straty instytucye, szukające w ten sposób gotówki.

W ubiegłych wszakże tygodniach finansiści nieumieli miary tej zachować i dlatego

to na wszystkich rynkach spadek kursów dosięgnął rozmiarów powszechnej klęski a sprawozdania giełdowe niemówią o słabnącem ożywieniu, lecz o depresyi i panice.

Nie sam więc fakt mniejszego popytu na wszelkiego rodzaju walory i zniżki ich cen, jest anormalnym, chorobliwym objawem — bynajmniej. Przerażająca jedynie szybkość, z jaką zniżka objęła odrazu tak różnorodne akcye i papiery a zarazem niezwykła różnica in minus w ich notowaniu, zaniepokoiły świat finansowy.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że wewnętrzne ekonomiczne i polityczne czynniki przygotowały grunt dla „déroute'y", której jesteśmy dziś świadkami. I w rzeczy samej, gdyby nie poprzedni nastrój giełd, klęska nieprzybrałaby nigdy tak obszernych rozmiarów, krach afrykańskich walorów złotych niepociągnąłby za sobą tak powszechnej zniżki, obejmującej papiery, niemające najmniejszej nawet z nim styczności.

Z drugiej wszakże strony, wskazane przez nas zmiany w finansowej sytuacyi Europy niebyłyby w stanie same przez się doprowadzić do tak raptownej i głębokiej zniżki kursów.

W zwykłych bowiem warunkach postarałyby się banki europejskie powoli wycofać ze spekulacyi potrzebne im sumy i nadać im więcej stałą formę, lokując je w przemyśle lub handlu. Rynek pieniężny przystosowałby się stopniowo do nowych warunków.

Gdy jednak na czas takiego właśnie odwrotu kapitałów z giełdy przypadła klęska poważnej i cieszącej się rozległą klientelą instytucyi, wtedy panika, zrodzona w Paryżu, objęła wszystkie inne rynki. Ogólna dziś finansowa sytuacya Austryi i Niemiec niekryje w sobie żadnych zgoła groźnych momentów. Coprawda, wymaga ona pewnej rezerwy w operacyach giełdowych, mniejszego niż dotychczas ożywienia spekulacyj pieniężnych, zwyżki stopy procentowej i zniżki kursów — są to jednak normalne, codzienne niemal zjawiska. Charakterystyką bowiem dzisiejszego rynku pieniężnego są ciągłe wahania w zapotrzebowaniu i zaofiarowaniu, nieustanne zwyżki i zniżki kursów. Jedynie więc zaraźliwym przykładem oszołomionej klęską giełdy paryzkiej da się objaśnić ten gorączkowy pospiech, z jakim austryackie i wiedeńskie banki wycofywały się z ryzykowniejszych spekulacyj, odmawiając swym klientom z dawno niewidzianym uporem wszelkich dalszych zobowiązań.

Systematyczność wszakże, z jaką w chwilach największej nawet paniki postępowały banki niemieckie i austryackie, odsuwając od siebie mniej pewną klientelę, a tembardziej spokój, jaki zapanował na giełdzie berlińskiej lub wiedeńskiej, gdy tylko kursa jako tako się ustaliły — dowodzą, że po za Paryżem straty nie są zbyt wielkie, że nie został podkopanym byt żadnej poważniejszej instytucyi. Czy jednakże, mimo względnie pomyślnego przebiegu w dniu likwidacyi (6 listopada), świat finansowy zdoła się uspokoić i od dalszych strat uchronić — przyszłość tylko na to odpowiedzieć jest zdolna.

dr. Gr—ski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu założenia „Towarzystwa ludowego na obwód parafii Chmielińskiej, — towarzystwa, którego charakter określa pierwszy paragraf statutów jako wyłącznie katolicki i stałym prezesem mianuje miejscowego proboszcza, zastępcą zaś wikarego, taki wypowiada sąd „Gazeta Gdańska" w Nr. 139.

Stwierdzamy, że Towarzystwo jest katolickiem, ale nie jest polskiem. Ono chwilowo jest także i polskiem, że tak powiemy przypadkiem, z powodu, że członkowie i księża są Polakami, ale podług swych statutów polskiem nie jest, a gdy przyjdzie do Chmielna proboszcz Niemiec, wikary Niemiec i kilku członków wstąpi Niemców, (co przecież bynajmniej nie jest wykluczonem), to będzie ono tem zawsze, czem ma być wedle statutów, to jest katolickiem, ale polskiem już wtedy nie będzie...

U nas toczy się walka śmiertelna przeciwko wszystkiemu co polskie. A z drugiej strony stawia rozpowszechniona umiejętność czytania lud prosty, którego duch z uśpienia coraz więcej się budzi, w możności poznania skarbów narodowych i oparcia się w ten sposób skutecznie germanizacyjnym dążeniom.

Czy katolicyzm sam, czy religia pomoże ludowi, aby dzieci nie zgermanizowały się w szkole? Chyba nie! Przeciwnie zaś coraz więcej księży niemieckiej narodowości, wychowanych w epoce szowinizmu, uważa za swój obowiązek katolicki prowadzić lud ku zgermanizowaniu. Świeżo zarzut z tego czyni rozsądna „Köln. Volkszeitung" księżom na Górnym Śląsku. A czy w naszych Prusach Zachodnich brak księży germanizatorów?

A następnie:

Czy lud polski będzie czuł się zadowolonym, gdy mu ksiądz prezes w dalszym ciągu po obiedzie w niedzielę będzie wykładał, co mówił mu w kościele przed obiadem?

Nie, on po to do Towarzystwa nie chodzi! Jego głęboko religijny nastrój z przyjemnością przyjmie i opowiadania i nauki religijnej treści. Owszem! Ale on ma jeszcze różne uczucia i myśli o ludziach i świecie, czysto świeckiej natury, których rozwiązania także żąda. On potrzebuje następnie wzmocnienia na walkę przeciw germanizmowi. On powinien odczuć czar polskiej i wesołej piosenki, różnych pieśni towarzyskich i ludowych, aby poczuł się w głębi duszy Polakiem, aby dusza jego rozżarzała i pokarm miała dla myśli i dla uczuć przez tydzień powszedniej pracy; mąż polski winien stać się ojcem polskiego, nie tylko katolickiego domu...

Dla tego nie podobna nam się pisać na taką zasadę i na owo ustanowienie Towarzystwa w Chmielnie, według którego i ksiądz Niemiec dla tego, że jest proboszczem lub wikarym w Chmielnie i choćby miał tendencye germanizatorskie, ma być kierownikiem Towarzystwa polskiego ludu chmielińskiego. Nie mamy zupełnie nic przeciw temu, aby księża byli przewodniczącymi Towarzystwa. Gdy nie są dyktatorami, gdy nie onieśmielają członków, są znakomitymi przewodnikami, a w obec ludu prostego, w Towarzystwach ludowych są niewątpliwymi przewodnikami urodzonymi. Dla tego już dziś Towarzystwa, a mianowicie ludowe księżom ogromnie wiele zawdzięczają.

Oby coraz więcej ludowych „Towarzystw pod przewodnictwem naszych zacnych proboszczów powstawało! — ale nie z taką uchwałą, jak w Chmielnie, lecz z uwzględnieniem pierwiastku narodowego.

* * *

Z powodu nowej emisyi akcyi „Banku Ziemskiego" zamieszcza „Dziennik Poznański" następujące uwagi w Nr. 271:

„Działalność Banku Ziemskiego jest dwojaką. Po pierwsze ma na celu przeciwdziałać przesileniu rolniczemu w miarę sił i środków, po drugie ma na celu powolne przeobrażenie społeczeństwa, przetworzenie go ze społeczeństwa składającego się dzisiaj przeważnie z wielkich właścicieli ziemskich i masy bezrolnych wyrobników na społeczeństwo, w którem harmonijną tworzyłaby całość wielka, średnia i mała własność. Innemi słowy: na społeczeństwo normalnie ukształtowane i normalnie się rozwijające.

Że Bank Ziemski tej herkulesowej pracy bez współdziałania ogółu uskutecznić nie może, rozumie się samo przez się. Przeobrażenie takie nie dokonywa się w kilku latach, ani nawet lat dziesiątkach. Na spełnienie takiego zadania potrzeba całych pokoleń, ale niemniej przeto jest to praca godna poparcia ogółu i pod względem społecznym i narodowym może najważniejsza.

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(Dokończenie.)

VI.

Dzień wyborów się zbliżał. Pan Antoni zaczął wierzyć w pomyślny wynik swych starań. Redaktor, dyrektor, jenerał, mecenas, pan Filip, pani Antoniowa, pan Chabgeld, oraz inni, pominięci w naszem opowiadaniu obywatele, pracowali nad siły. Rezultat zależał głównie od „braci rzemieślników" i „braci mojżeszowego wyznania". Co do tych ostatnich pan Chabgeld nieustannie powtarzał: dobrze chodzi. „Kto dobrze chodzi?" pytał pan Antoni... „Nu, nasze sprawe dobrze chodzi", odpowiedział zapytany, a gdy mu mówiono, że się mówi: „dobrze idzie", uśmiechał się i dodawał: „ny, czy idże czy chodzi, to na jedno wichodzi".

Zebranie przywódzców liberalnej partyi rzemieślników, rękodzielników i przemysłowców naznaczone zostało na dzień św. Zofii. W dniu tym miały zapaść stanowcze uchwały, tyczące się listy kandydatów. W wielkiej sali jednego z cechów zebrała się poważna starszyzna i zasiadłszy przygotowane krzesla i stołki radziła nad dobrem narodu. Przewodniczył jej pan Jacenty Głowacz, właściciel dwóch kamienic, piekarni, trzech sklepów, potężnego wąsa, czerwonych policzków, zielonej tabakiery i córki umiejącej po francuzku i grającej „na fortepianie". Stentorowym głosem otworzył posiedzenie, wykazawszy w krótkich słowach, że „względem tego, co każe sumienie i polityka, trza się, kochani bracia, naradzić, bo wybory za dni kilka, a zapóźno w piecu palić, kiedy chleb furt do wsadzenia gotowy".

Gdy skończył pan prezes, prosił o głos obecny na posiedzeniu dr. Reformacki i w długiem przemówieniu podniósł ważność chwili, skreślił dzieje stańczyków od czasu Adama, wskazał dokładnie, iż Kaina słusznie uważać można za ich protoplastę, potrząsł z lekka sprawę nieomylności papieża, przypuścił możliwość konfliktu austryacko-rosyjskiego, oświadczył się za usunięciem obecnego prezydenta, przepowiedział wylew Wisły na wrzesień, skutkiem czego przyszła wystawa znajdzie się o dziesięć metrów pod wodą, a w końcu z tego wszystkiego wyprowadził wniosek, że jeżeli tacy ludzie jak Wątróbkiewicz, Trygonometrycki, Wasserfeuer, Bezklepkiewicz, Cichotrąbski nie wejdą do Rady miejskiej, to nietylko, iż miasto zbankrutuje i przepadnie, ale postępowa Europa obróci się tyłem do Krakowa.

Następny mówca „kalkulował sobie", że dopóty nic będzie dobrze na świecie, dopóki nie zniesione będą podatki, a w tym celu radził wysłać „dyligacyą do Wiednia". Dyskusya na te tory popchnięta zaczęła się wikłać — w tem ukazały się pełne flaszki anyżowej, miętowej, starki i pomarańczówki, w towarzystwie kiełbasy, wędzonki, szynki i innych rozkoszy życiowych. Podniosło to uroczystość chwili, zwłaszcza, że gościnny gospodarz nie zapomniał i o nektarze okocimskim. Zebranym zaczął się świat mniej smutnym wydawać, a dyskusya z pola teoryi zeszła na pole praktyki. Każdego kandydata omawiano po przyjacielsku, wyliczano jego zalety lub błędy, a choć czuć było pewne obałamucenie umysłów polityką, choć o „utrymarynach i konwerstatystach" wspominano dość często, to przecie zdrowa myśl i jasne zapatrywanie się na sprawy miejskie wyłaniały się dość często z tej dyskusyi.

Nareszcie wymówił ktoś nazwisko pana Gandziarowskiego. Z licznych ust odezwały się pochwały. Chwalcami byli przeważnie obywatele, znani z uległości dla swych połowic; czuć było, iż zabiegi dyplomatyczne p. Antoniowej wydały pożądany skutek. Chwalono rządność, gospodarność kandydata.

Nie wchodzimy w szczegóły działalności Banku Ziemskiego się dotyczące, mamy bowiem na celu tylko poruszenie tej ważnej kwestyi i mamy nadzieję, że ludzie fachowi i bardziej powołani się nią zajmą. Kwestya ta nie powinna obecnie schodzić u nas z porządku dziennego, aż dopóki załatwioną nie zostanie, to jest aż dopóki akcye nowej emisyi Banku Ziemskiego rozkupione nie będą. Zdaniem naszem powinno to być obecnie naszem ceterum censeo.

Za zakończenie chcielibyśmy tylko jeszcze przypomnieć, że Bank Ziemski ze szczupłemi środkami swemi już 44 tysiące morgów rozparcelował pomiędzy 1013 rodzin włościańskich. Jeżeli to tedy za rękojmią na przyszłość uznamy, to powinniśmy nowej emisyi akcyi Banku Ziemskiego wszelkiemi siłami dopomódz, już to sami akcye subskrybując, już to przez rozwinięcie odpowiedniej agitacyi. Wiadomo, że Bank Ziemski przed rokiem uchwalił podwyższenie swego funduszu zakładowego z 1,200,000 na dwa miliony marek. Dotychczas wypłacał Bank ten akcyonaryuszom swoim regularnie 4 proc. dywidendy, dawał więc odsetki takie, a może nawet i wyższe, jak inne papiery państwowe. Założyciele tedy banku, nietylko że spełnili obowiązek narodowy, ale znaleźli dobrą lokacyą dla swych kapitałów.

Pomnijmy zresztą na to, że przy pierwszej emisyi głównie inne zabory nam dopomogły. Starajmy się więc, aby teraz gdy Bank przeszedł próbę ogniową zwycięsko aby przy tej nowej emisyi Wielkopolska godnie wystąpiła i nie dała się znowu przez Galicyą i Królestwo wyprzedzić. . . .

Nie przeczymy temu, że społeczeństwo nasze dużo ponosi ofiar na cele publiczne. Wystarcza wziąść do ręki pierwszy lepszy numer gazety, aby się o tem przekonać. To też na podstawie faktu tego wnioskujemy, że dla najważniejszej naszej instytucyi publicznej pieniądze się znajdą i subskrypcya pokrytą zostanie.

Warunki zaś subskrypcyi nader są dogodne. Akcya opiewa na 1000 marek, ale wpłacić potrzeba tylko 250 m., dalsze zaś raty rozłożone są na roczne spłaty, tak że żadna akcya prędzej jak w przeciągu 4 lat spłaconą być nie potrzebuje.

Pomnijmy w końcu na to, że kupując akcye Banku, ratujemy pośrednio ziemię naszą od obcych jej żywiołów.

Ile zaś jest zagrożonych jednostek w społeczeństwie naszem, które ostatkiem sił bronią się, aby ziemi ojczystej w obce ręce nie wypuścić, a jakby ci szczęśliwi byli, gdyby ziemię swą pomiędzy włościan naszych rozparcelować mogli. Pomoc Banku jest w takim przypadku konieczną i jedynie przez nią można jeszcze wtedy ten kawałek ziemi polskiej uratować.

Sprawie tej poświęcimy w jednym z najbliższych numerów obszerniejsze uwagi.

* * *

Warszawski tygodnik „Głos“ (nr. 7) taką wypowiada opinię w sprawie „Badeni contra Lueger“:

„Mąż stanu, który chce stać nad stronnictwami, żadnego z nich nie będzie zrażał nierozważnie, tembardziej zaś stronnictwa, mającego przyszłość polityczną. Można być zasadniczym przeciwnikiem agitacyi antysemickiej, a jednak widzieć, że nawet przy obecnej ustawie wyborczej, tembardziej zaś w razie jej rozszerzenia, antysemici w przyszłych wyborach odbiorą dużo mandatów liberałom. Ruchu masowego, chociażby mającego dążenia fałszywe, ale wynikającego z przyczyn uzasadnionych, nie stłumi najenergiczniejszy minister, opanować go może zawsze człowiek rozumny i umiejętnie wyzyskać dla celów swej polityki Antysemici, z wyjątkiem jednego odłamu narodowców niemieckich, są stronnictwem bardziej i szczerzej od innych uznającem aspiracye narodowe ludów słowiańskich w Austryi.

Program polityczny hr. Badeniego miał jednę cechę dodatnią, która w oczach wielu wynagradzała wszystkie jego słabe strony i braki. Rząd chciał i obiecywał być energicznym i samodzielnym. Tymczasem pierwsza próba wykazała, że rząd umie być wprawdzie szorstkim i lekceważyć prawa ludności, ale ani swoich praw, ani swojej godności bronić nie umie, i chociaż naczelnik jego nadrabia fantazyą, nie tylko nie prowadzi sam akcyi politycznej prostą drogą, ale bardzo łatwo daje się sprowadzić na manowce“.

LITERATURA I SZTUKA.

Sylwetki poetów czeskich.

VI.

Józef K. Szlejhar.

W rzędzie nowelistów czeskich zabłysnął po nad innych w dobie ostatniej Józef K. Szlejhar.

Widzi on niemal wszędzie złe, boleść, smutek, wyzysk. — nieustosunkowanie między przeznaczeniem stworzeń i ich życiem. Wydobywa prawie jedynie tony przygnębiające, chmurne. Nawet gdy weselej zabrzękną jego struny, to wyłącznie po to, aby na końcu zwiększyć rozdźwięk i spotęgować posępne wrażenie. Dla tych też przyczyn opisywane przezeń istoty wstawiane są w odpowiednie ramki. Cała natura, otoczenie, w którem umieszcza swe postacie, nawet zwierzęta, malowane są w tym celu. Nędza dusz, troska o chleb powszedni, poniewieranie ludzi, cała bieda wszelkich stworzeń rzucona jest na tło krajobrazów szarych i ciemnych, ziemi bezpłodnej i jałowej, albo też autor innej chwyta się metody. Maluje obrazy świetlne, jasne, pogodne, aby czytelnik na mocy prawa kontraktu pod silniejszym był wpływem, gdy przed oczyma jego pocznie przesuwać cienie, mroki i smutki. Też krańcowość widzimy w odtwarzaniu ludzi, których zna 2 tylko gatunki, bardzo złych lub bardzo dobrych, ale zawsze w takim razie krzywdzonych.

Kwintesencyą świata dla niego jest krzywda. Jest on pesymistą, pełnym współczucia dla cierpiących, z pogardą patrzącym na cywilizacyę. „Bo cóż znaczy ona, ta chluba ludzkości, jeśli możliwe są wypadki, jakiem znalazł“ — tak kończy autor nowelkę „W zaciszu“, gdzie roztoczył przed nami widok nędzy i zaniku uczuć robotnika małomiasteczkowego. Umarł mu syn Wojtek, z czego był niezmiernie zadowolniony. Gryzło go jedynie, że ma więcej jeszcze dzieci, a zwłaszcza chorą Annę. „A ta, jak długo jeszcze żyć będzie?“ — Tymczasem gospodarz wyrzuca go z mieszkania. Robotnik ma otrzymać miejsce gdzieindziej. Postanowił zmienić miejsce pobytu. Każe żonie brać rzeczy, ściąga z umierającej córki pierzynkę, „bo ta jej nie na długo będzie potrzebną, a żywym przydać się może“, odrywa matkę od gorączkującego dziecka i podąża z nią i resztą dzieci tam, gdzie znośniejszy znajdzie snać zarobek. — „Maminko“ — szepce Anna z pod słomy i chusteczki maleńkiej, którą biedna matka okryła śmiercią stygnące jej nóżki — „ale nikogo już niema w izbie“. Uległa matka poszła z ojcem błędnym niemal z nędzy, despotycznym, rozstrojonym i zamarłym uczuciowo. Na widok wydającej ostatnie tchnienie córki nawet nie drgnął.

Tego rodzaju scenki są treścią wszystkich prawie nowelek Szlejhara. Zdaje się, że autor odczuwa ból razem z cierpiącymi, że każdy nerw w nim wibruje.

Szczególnem upodobaniem otacza życie zwierząt chorych lub na zatracenie skazanych. Jest on wielkim ich psychologiem. Przebadał, zda się, ich duszę, rozumie każde ich spojrzenie i ruch. Jego zwierzęta żyją, mają duszę, czują i myślą. Szlejhar — to czeski Dygasiński, jeno z odcieniem czysto pesymistycznym.

„Kurczę-melancholik“, nazwane tak z po-

Szczegóły te podnosił zwłaszcza p. Sebastyan Chwałek, rzeźnik, mający sławę największego siłacza i zarazem najsłabszego małżonka. W dyskusyi ostatnim jego argumentem było: „m o j a mi to mówiła“. A w sprawie pana Antoniego m o j a była poniekąd zaangażowaną: zawiązana na prędce przyjaźń z panią Julią Zywokost na Gandziarach Gandziarowska łechtała jej próżność, a uwaga pani Antoniowej, że z jej Janka i Klimci państwa Chwałków piękna byłaby para, doprowadziła p. Sebastyanową do snucia wielu projektów. Wprawdzie Janek miał dopiero lat 17, a Klimcia 14, ale rodzice troskliwi o przyszłość swych dzieci, tego rodzaju projektów nigdy nie uważają za przedwczesne.

Otóż kiedy pan Chwałek skończył rzecz swoją sakramentalnem „m o j a mi to mówiła“, powstał nagle siedzący dotąd w milczeniu pan Józef Cholewa, ogólnie poważany majster kunsztu szewskiego, uderzył pięścią w stół i rzekł krótko:

— A ja wam powiadam, że Gandziara jest łotrem! — i zanim obecni mieli czas ochłonąć z wrażenia, pan Cholewa wprowadził do sali stróża Jędrzeja, znanego nam z początku naszego opowiadania, który na jego wezwanie wyłuszczył jak umiał, humanitarne zasady i czyny swego byłego chlebodawcy. Trzeba dodać, że Jędrzejowa, do ratowania której nie chciał pomódz drobną pożyczką pan Antoni, w kilka dni umarła, a nasz filantrop oddalił Jędrzeja ze służby zapewne dlatego, że czułe jego serce nie mogło znosić widoku nieszczęścia.

Prosta, szczera i z płaczem wypowiedziana relacya Jędrzeja miała skutek gwałtowny. Pan Józef Cholewa nie poprzestał na tem, ale ze wszystkiem, co tylko wiedział o szanownym kandydacie, starał się obrazowo słuchaczów zapoznać. Była więc mowa i o tem, że Gandziarowski jest Gandziarą, że majątek jego powstał z usunięcia testamentu, a następnie z lichwy, że jest nieużyty, skąpy, brudny, fałszywy itd. Wyszły na jaw jego poprzednie paktowania ze stronnictwem przeciwnem, stosunki z Chabgeldem, a wreszcie wiele innych faktów i fakcików, które po części były prawdą po części zaś fantazyą... pani Jęczmionkowskiej.

Tak jest, Jęczmionkowskiej! Ona to bowiem, dbała o honor własny i kandydaturę Przyszczypkowskiego prowadziła gorliwie przez cały tydzień śledztwo z życia i czynów p. Antoniego, ona to rozpuściła ajentów, mogących zebrać materyał dowodowy, ona to wreszcie wybrała p. Cholewę na prokuratora wnoszącego oskarżenie.

Rezultat był fatalny: przy głosowaniu próbnem upadła kandydatura p. Gandziarowskiego głosami 3-ma przeciw 18-tu, oddanym na rzecz Przyszczypkowskiego.

Pozostała jeszcze nadzieja w obywatelach Kazimierza i plakatach. Zaraz na drugi dzień na rogach ulic ukazały się wielkie plakaty następującej treści:

> **Obywatele wyborcy koła X. oddziału X.**
>
> Za parę dni mamy stanąć do urny, aby ster rządów miasta oddać w ręce odpowiednie. Dość panowania kliki i jej służalców! Kto kocha kraj i miasto niech głos swój odda ludziom niezawisłym, pełnym dobrej woli, znanym z ofiarności pracy i kapitału na rzecz dobra powszechnego. A do takich mężów zalicza się
>
> **p. Antoni Gandziarowski**
>
> człowiek nieskazitelnego charakteru i dający gwarancyą, że prawda i postęp będą mu drogowskazem. Cichy jego żywot, bo nie szukał karyery! Na takich ludziach stoi społeczeństwo. Głosujmy więc wszyscy j a k j e d e n m ą ż za
>
> **Antonim Gandziarowskim.**
>
> Niezawiśli wyborcy.

Dla przyszłych historyków tytanicznych walk wyborczych Krakowa, notujemy jeszcze kilka pomniejszych plakatów:

wodu swej chorobliwości, traktowanem jest ozięble przez swą matkę i resztę piskląt, odpędzanem od jadła i zaniedbywanem. Nie korzysta ono z skrzydeł matczych, wiecznie głodne i drżące z chłodu. Ma jednak ducha opiekuńczego, małe dziecko, które zajmują dwie rzeczy: „co to znaczy, że mama umarła?“ a drugie, skąd się wzięły te kurczątka i co ro znaczy; „kura siedzi na jajkach?“ — Dziecię zostało opuszczone, nikt o niem nie pamiętał, bo matkę ojciec zepchnął do grobu. Dostało mamkę. Ta wygania służbę i znęca się wespół z nowemi służebnicami nad dzieckiem, a ojciec powodowany zwierzęcą ku nowej żonie namiętnością, katuje je również. Głodzony i bity, wyrzucony do kuchni z jadalni i sypialni rodzicielskiej (przeszkadzał spać, bo zanadto z wycieńczenia majaczył) — zachorował nieborak i cuchnął. Dom nie mógł go znieść. Za podszeptem usłużnej kucharki — na co macocha tylko czekała — przeniesiono dziecko do wozowni, gdzie zapomniane prawie — umarło. Odkryto to przypadkiem. „Kurczę-melancholik“ bowiem, nie mogąc snać znaleźć schronienia, (bo pod kołderką malca, gdy jeszcze był zdrów, spać mu nie dali, a chłopca zbito) — albo też z głodu — zaczęło piszczeć okropnie. Pani tedy kazała je zabić. Kurczę uciekało przed kucharką, a widząc wozownię otwartą, ukryło się tam, a spotkawszy swego anioła stróża, przytuliło się doń dziecko w chwili, gdy ono, wspominając bitą przez ojca nieboszczkę matkę, — słało światu ostatnie pożegnanie. Dwaj przyjaciele, skazani na śmierć, objęli się wzrokiem serdecznym. Byli razem.

W „Ryzce“ (koń takiej maści) maluje nam autor konia wysłużonego, sprzedanego li tylko na skórę. Korzystawszy z luźnego przywiązania do płotu, zostawia swych towarzyszy, pijących w szynku właścicieli i wolny błądzi wśród śniegu. Głodem nękany, zagląda potem do izby wieśniaka, zkąd wypędzony i poszturchany zanurza się w śnieżnej nawałnicy, a zmęczony bieganiem, pada i kona.

W „dwóch oka mgnieniach“ mamy wieś opustoszałą w czasie wojny, a w niej psa, skatowanego z całą bydlęcością przez biedaka, któremu psisko wypiło resztę mleka, myśląc, iż on dla niego je przygotował. „Sad“ — to pastwienie się nad wężem przez matkę, której syn umarł niegdyś z ukąszenia żmii. Wspomnienie syna zezwierzęciło matkę. „Ptaszek“ — to historya oswojonego ptaszęcia, które przypadkiem wpadło do izby biednego golarza małemiasteczkowego i wesołość w dom wprowadziło. Ale ptaka odebrano. W tym samym czasie głód i zimno przyprawiły ukochane dziecię golarza o chorobę. Cierpiało i marzyło o ptaku. Ojciec sprzedał sukmanę, by kupić go od właściciela, który zeń zdarł niemiłosiernie. Lecz synek umarł. Matkę znalazł golarz w dni kilka w śniegu na grobie stężałą. Gdy więc wróciwszy spostrzegł i ptaka martwego, nie dziw, że rankiem spostrzegli go ludzie wiszącego na drzewie z ptaszęciem w zanadrzu.

Takie smutki rzuca nam Szlejhar niemal w każdej nowelce, które po prostu wywierają częstokroć wrażenie czegoś nierzeczywistego. Same cienie, same noce, nie światła, nie szczęścia dla dusz biednych i kochających. A w naturze i zwierzętach Szlejhara drga wielka litość. Gdy ma przyjść śmierć, „kurczę-melancholik“ poczyna piszczeć, natura zmienia się. Jest to w pewnym stopniu mistrycyzm, zbliżający go do Brzeziny.

Talent autora rośnie i rozwija się bezustannie. Szkice jego stają się coraz doskonalsze, rzeczywistsze, chociaż bydlęcość, zwierzęcość ludzka, namiętności dzikie, psychologia zwierząt, zwykle chorobliwych i wynędzniałych, służy i nadal za treść jego utworków. Lecz w zbiorku „Wrażenia z przyrody i społeczeństwa“ tak okrutnie nie drażni już nerwów. „Chora jabłoń“ i „matka“ — oddziałują raczej melancholią swoją. „Chora jabłoń“ — zasadzona w dzień ślubu, więdnie; zły to prognostyk — wszyscy, główniej zaś dziadek, są pod wrażeniem ponurem — młoda małżonka wkrótce też umiera. W Maeturlinckowskim dramacie „Gość nieproszony“ podobne mamy sceny i podobnego dziadka. Pachnie to nieco mistycyzmem, ale o wiele możliwszem się wydaje, niż przeczucia śmierci „kurczęcia-melancholika“.

Weselszym i może najrzeczywistszym obrazkiem jest opowiadanie „O panu Szpaczku“. Są to dzieje zakładania rodziny szpaczej, wybór mieszkania, umizgi o życie małżeńskie, troska o wychowanie dzieci, o przemianę stopniową charakteru w szpaku, który staje się z kolei filistrem, satyrykiem, melancholikiem; wreszcie znów serduszko w nim mocniej zakołatało, — spojrzał na żonkę, w myśli przesunęły się wspomnienia rozkoszy wiosennych i jął wywodzić tryle, pewny prognostyk zamiany Dumasowskiej „fizyki miłości“ na „chemię małżeńską“. Ale kot już nań czyhał. — Rodzina odczuła całą boleść, wiedziała ona, jaką podporą materyalną i opieką był dla niej „pan Szpaczek“, a zresztą tyle dni razem spędzonych — toćby i pies się przywiązał!

W roku zeszłym wydał Szlejhar większą powieść: „Florjan Bilek, młynarz z Myszyc“, gdzie nas zapoznaje z wypadkami i osobami mającemi styczność z młynem, którego posiadanie ma własność podnoszenia godności właściciela. Bywa on zwykle poważanym, jest pierwszą we wsi figurą. Młyn! fortuna niałada! Młynarz Bilek to postać zajadła, despotyczna, głowa pełna figli złośliwych, marnotrawca, niewierny mąż, próżniak. — „Młyn może znieść tylko jednego próżniaka, a tym chcę być ja“ — mówi do służby — dla syna chłodny, bo z biedną dziewczyną pragnie się ożenić, dla kochanki jego bezlitościwy, bo kopie ją, gdy Anna pod sercem nosząc dziecię, błaga go o pozwolenie na małżeństwo z synem. Ale za to jest on niezwykle ambitny i próżny, bo choć wuj Anny spalił młyn i zubożył tem młynarza, Bilek funduje jak może, a obojętnie przez wszystkich w karczmie witany, kończy życie na gałęzi. Wacław, syn jego, to ciemięga pod każdym względem i nie wiadomo, co przywiązało doń Annę, kochającą go do szaleństwa.

Autor z wielką prawdą maluje nam zabiegi wuja Jehunka w celu zdobycia młyna. Skupuje on weksle, okrada Bilka, zabija gęsi, niszczy upust młyński. Figura ta w całej podłości podnosi się przed nami, lecz spekulant nie osięgnął celu. Młyn został kupiony przez ojca panny, którą Bilek chciał mieć za synowę, i wraz z jej ręką dostał się Wacławowi. A Anna! straciła dziecię i długo o Wacławie nie mogła zapomnieć!

Całe mrowisko istot wiejskich, powołał autor w powieści swojej do życia. Jest tu i sprytnie usłużny karczmarz i mędrzec owieczkowy i włóczęga, chłop, wieczny tułacz.

I.

Telegram!

Miasto Lwów patryotycznym obywatelom Krakowa, wybierającym dziś do Rady miejskiej

p. Antoniego Gandziarowskiego

śle braterskie pozdrowienie. Niech żyją postępowi wyborcy Krakowa!

II.

Precz z hrabiami! Nie dla psa kiełbasa!

Vivat Gandziarowski!

III.

Obywatele wyborcy!

Nikczemne zabiegi, aby nie dopuścić do Rady

Antoniego Gandziarowskiego

winny znaleźć odpowiedz w jednomyślnym jego wyborze! Pamiętajcie o tem wyborcy, jeśli nie chcecie shańbić starej stolicy Piastów i Jagiellonów!

Jakiś dowcipniś z partyi przeciwnej w sam dzień wyborów kazał rozlepić następujący plakat:

Co po Żywokoście w Radzie, kiedy go można dostać za centa w aptece!

Mimo to obywatele wyborcy! stańmy do urny jak jedna żona i głosujmy za

Gandziarą.

Rezulat wyborów był następujący: Wątróbkiewicz głosów 319, Wasserfeuer 491, Gandziarowski 48, Przyszczypkowski 312 itd. itd.

Te 48 głosów, które były zaledwie $^1/_6$ ilości głosów potrzebnych do wyboru, kosztowały pana Antoniego przeszło 2000 złr.

Do klęski moralnej przyczynił się głównie p. Chabgeld, gdyby bowiem „nabyci“ przez niego wyborcy głosowali zgodnie za p. Gandziarowskim, byłby tenże prawdopodobnie i tak nie przeszedł, ale przynajmniej miałby dla osłody dwieście kilkadziesiąt głosów. Taki upadek nie zwraca wprawdzie kosztów „przedsiębiorstwa“, ale jest bądź co bądź dość jeszcze zaszczytnym. Tymczasem p. Chapgeld nie mógł pogodzić się z myślą sprzeniewierzenia się zasadom konserwatywnym i okazał się mężem twardo stojącym przy wyrobionych przekonaniach.

Złośliwi podejrzywali go o jakieś konszachty z Przyszczypkowskim, wymieniali nawet sumę, nabyte dla pana Antoniego głosy, ale potwarz ściga i najzacniejszych. Pan Antoni odchorował swój zawód. Powstawszy z łoża, zerwał wszelkie stosunki z jenerałami, redaktorami i mecenasami i postanowił przy następnych wyborach kandydować jako konserwatysta. Demokratyzm wyrzucił za drzwi i kazał wylitografować bilety wizytowe, tak się przedstawiające:

Antoni Józef Żywokost

de Gandziara

Woyniłło-Gandziarowski.

Tego „Woyniłłę“ wynalazł mu podobno świeżo p. Żychliński, obiecując w przyszłym roczniku „Złotej Księgi Szlachty Polskiej“ podać rodowód Gandziarowskich, idących w prostej linii od zmarłego bezpotomnie Woyniłły, kniazia na Kurpiszkach i Czarnej babie.

Mamy tu sceny w karczmie, i widok zabaw, spotykamy też czułego ojca Anny, którą odwiedza w tajemnicy przed żoną i zostawia dla wnuczka, urodzonego w domu dwojga dobrych ludzi (i tacy znajdą się na wsi) — nieco ubrania i guldena. A zmyka czemprędzej z powrotem, bo żona, — przed jej docinkami wszak córka uciekła, — a on dawno już nie miał głosu i poniewierał się po kącie, jak stary łachman. W powieści tej osoby są już więcej przeciętne, mniej krańcowe.

Całość robi wrażenie dodatnie, pomimo, iż wkradło się kilka zbytecznych ustępów. Autor w pogoni za zobrazowaniem życia wiejskiego, poprzyczepiał tylko niektóre wypadki i ludzi, do osób i zjawisk głównych, nie postarawszy się o silniejsze z niemi związanie. Język autora nie odznacza się artyzmem. Stylu nie posiada. Podpatrywaniem życia jednak i suggestyonowaniem swych uczuć działa na czytelników.

Z. Makowiecki.

Secessyoniści.

Wiele się dziś mówi o malarstwie nowoczesnem. Wszędzie, — tak na wystawie sztuki w Wenecyi, jak w paryzkim salonie, — we Lwowie w roku ubiegłym i teraz w Berlinie — wszędzie czuje się silny powiew nowej sztuki, która, zjawiwszy się niepostrzeżenie, wysuwała się stopniowo na plan pierwszy, aż dziś zasłania dzieła dawnych a uznanych malarzy. Charakteryzuje tę nową sztukę przedewszystkiem gwałtowne dążenie wydostania się z brutalnego naturalizmu i namiętne upodobanie w tem co jest niecodzienne i niezwykłe, pogarda wszystkiego „ce qui est demandé“, — rozkochanie się w półtonach i w półurokach, w nastrojach Rembrandtowskich i w Rembrandtowskich oświetleniach. Nie można jednak zaprzeczyć że obok dzieł prawdziwie pięknych. widzi się przesady dużo, obok pomysłów artystycznych, zboczenia i błąkanie po ścieżkach fałszywych ideałów, — obok indywidualności silnych, umysły raczej spaczone i skrzywione. Widzi się to wszędzie, gdzie nowa sztuka występuje, widzi się więc i w Monachium. Historya powstania secessyonistów jest wszedzie znaną — a u nas znaną bardziej niż gdzieindziej — przez silne węzły, jakie malarzy polskich łączą z Monachium. Z tej więc przyczyny — nie ma potrzeby opowiadać, jak młodzi malarze wyłamali się z pod wpływu akademii, starych form i kierunków, opieki profesorów, rządu i komitetów wystawowych i stworzyli sobie wystawę odrębną, wystawę młodych. Dziś nie sami młodzi latami należą do tych, co reprezentują młodą sztukę. Niektórzy młodzi już dobrze posiwieli i postarzeli się w jej służbie, podczas gdy ona dalej uchodzi, jakby co dopiero w świat sprowadzona. I ci starzy wśród młodych ratują honor nowej sztuki. Przechodząc przez sale, gdzie secessyoniści wystawili swoje obrazy, widzi się że rok ten nie przyspożył im żadnego nowego talentu. Takich obrazów, któreby w sztuce zwiastowały przewrot albo krok wielki naprzód albo odrodzenie, - takich obrazów w tegorocznej secessyi brak. Pomimo tego jednak są rzeczy bardzo ciekawe, a niekiedy i bardzo piękne. Naturalnie że przedewszystkiem mowa być musi o *Böcklinie* i jego „Venus genitrix“. Jest to obraz allegoryczny, złożony z trzech części, rodzaj tryptychonu. Środkową zajmuje postać Wenery, o spokojnej twarzy, rozmarzonych oczach i wspaniałym blasku barw böcklinowskich. Jest w tym jego kolorycie rozlany jakiś spokój ogromny i ogromne bogactwo, jakieś ciepło i jakaś nasycona pełnia barw, którą znajdywało się jedynie u włoskich malarzy odrodzenia. Ma się uczucie, jakby od obrazu tego płynęła najpyszniejsza woń wschodnich pachnideł, upajająca, słodka woń. W porównaniu z współczesnymi malarzami nowszej szkoły wydaje się Böcklin, jak harmonijnie zbudowany, silny, zdrowy człowiek, umiejący oderwać piękno świata z natury, wobec zdenerwowanego dekadenta, na którego tylko pewne podniety i nie wszystkie wrażenia działają. Tę wspaniałość kolorytu ma naturalnie nietylko Venus, ale i prześliczny obraz Bocklina „*Odysseusz i Kallypso*“ i „Zamek napadnięty przez piratów“ We wszystkich tych obrazach czuć niezwykle bogatą naturę, o wielkiej sile, o harmonii wielkiej, a połączenie siły i harmonii spotykamy tylko u pierwszorzędnych mistrzów. Nie mają go i bardzo wybitni malarze, — naśladowcy czy nienaśladowcy Bocklina. Nie ma go i Stuck, owa potęga secessyonistów — który wiele rzeczy podpatrzył u Bocklina. Zaczerpnął u niego wiele motywów malarskich, — owych centaurów i nimf, które Böcklin z takiem zamiłowaniem maluje. Jednak ulubionym jego tematem jest sfinks, obecnie godło secessyonistów. Sfinks to kobieta, sfinks to miłość, sfinks to świat, sfinks to zagadka bytu, to śmierć i życie. Sfinks też jest obrazem, który największą uwagę zwraca na wystawie tegorocznej. Naga o bujnych kształtach kobieta, „la femme de trente ans“, uchwyciła w ramiona swoje mężczyznę i ściska go z szaloną namiętnością. Obraz ten malowany jest świetnie, ale jest w nim coś, co obraża nasze uczucia estetycznego smaku. Takie chwile roznamiętnienia w życiu, nie mają świadków — jest to pewnym beztaktem artystycznym, gdy sztuka odsłania je, oddając pod uwagę tysiecy.

Z malarzy o ustalonej sławie i wybitnem nazwisku wystawił jeszcze Max Liebermann pełen nastroju obraz „In den Dünen“ a Pietschmann „Adama i Ewę“. Pierwsi ludzie siedzą w raju. Ewa pochyla swą głowę o jasnych, rozpromienionych włosach ku Adamowi, i oboje zdają się patrzeć w świat, który jest rajem, i pięknością i szczęściem.

Adam i Ewa, są w ogóle tematem, który malarzom przypadł obecnie do gustu. Ewę spotykamy w najrozmaitszych waryacyach u malarzy angielskich, — a u secessyonistów,

---

BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON.

STRASZNE WSPOMNIENIE

Z LAT DZIECĘCYCH.

Liczyłem wonczas mniej więcej lat siedm, kiedy się roze-zła pogłoska na probostwie, że dwóch ludzi, przejeżdżających łodzią około fiordu Erid, znalazło tuż nad brzegiem morza, pół leżącą, pół wiszącą kobietę, która spadła ze stromej skały. Nie ruszyli jej prędzej, dopóki nie dowiedzieli się od niej, kto z nią tak okrutnie postąpił.

Pięć mil morzem do lekarza, a poprzednio jeszcze wizyta u mego ojca, aby od niego uzyskać świadectwo, umożliwiające przytułek w szpitalu! Leżała dłużej niż dwadzieścia cztery godziny bez pomocy, a wkrótce po udzieleniu jej tejże, wyzionęła ducha. Przed skonaniem wyznała jeszcze, że uczynił to Per z Hagbö, „ale — dodała — proszę nie znęcajcie się nad nim“. — Wszyscy wiedzieli, że pomiędzy nią, będącą w służbie w Hagbö, a synem domu istniał stosunek miłosny; a domyślni ludzie wiedzieli w jednej chwili, dla czego pragnął ją z drogi usunąć.

Pamiętam dobrze, kiedy wiadomość ta się rozeszła; było to po południu tej samej niedzieli, w której to o rannej porze ją zamordowali; było to wśród lata, w promieniach słońca czeladź wesoło na dziedzińcu igrała. — Przypominam sobie, że zdawało się jakby zmrok zapadał, twarze wszystkich martwiały, fiord ginął w mgłach, a las i okolica kurczyły się w powłoce cieni. Przypominam sobie, że odczuwaliśmy następnego dnia jakby przewrót wszystkich zwyczajów codziennych, nie czułem się zobowiązany iść do szkoły, robotnicy zaprzestawali pracy i siadali, gdzie im się podobało. Szczególnie kobiety, jakby je siły opuściły, odgadywały jakieś groźne niebezpieczeństwo, widać to było po nich, mówiono też o tem. Mianowicie gdy obcy wszedł na podwórze, twarze ich i ruchy zdradzały, jak potężne wrażenie wywarło na nich zabójstwo. Pod tem samem wrażeniem i my pozostawaliśmy, podawaliśmy sobie ręce jak po długiej rozłęce, zabójstwo bowiem stawało nam przed oczyma; można było mówić o najzwyklejszym przedmiocie, a z głosu i doboru słów widniała obawa mordu. Kładliśmy się do snu i wstawali nad ranem z uczuciem, iż jesteśmy bez opieki, a ochota życia tak nagle stanęła jak wskazówka zegaru o pewnej godzinie. Powoli przybrało owo zabójstwo cechę codzienności, sprawiły to plotka i ciekawość, obrabiały je one, omawiały, sondowały tak długo, aż je utarły, pozbawiły grozy i zamieniły tylko w »najnowszą nowość.“ Niezadługo znaliśmy najmniejszy szczegół stosunku zamordowanej do mordercy; wiedzieliśmy też kto była ta, z którą miał się żenić Per według woli matki. Znaliśmy owych ludzi z Hagbo na wylot i całą ich genealogią.

Gdy sędzia przybył na probostwo na pierwsze przesłuchy, zabójstwo samo było niewyczerpanem źródłem rozmowy; gdy jednak drugiego dnia woźny powiatowy z kilku żandarmami przyprowadził mordercę, nowe mnie uczucie ogarnęło, uczucie, którego dotychczas nie znałem, największa litość. Młody, przystojny chłopak, dobrze zbudowany, niezbyt wielki, o delikatnych kształtach ciała, z ciemnym, niezbyt bujnym włosem, o sympatycznem oku, którego wyraz obecnie był zalękniony, głos miał czysty i pewien wdzięk w całem ułożeniu, wogóle przebijało w nim lepsze wychoowanie. Widoczne było jego przywiązanie do życia, jego umysł pogodny, wesoły.... uczułem nadzwyczaj wiele litości dla niego. Woźny powiatowy mówił z nim łagodnie, inni tak samo, widocznie byli pod tym samym co ja wrażeniem. Tylko mały popędliwy sekretarz zarzucił go potokiem wyrzutów, na które jednak oskarżony, z czapką w ręku, wcale nie odpowiadał. Chodził po podwórzu w koszuli — dzień był bardzo gorący — z płaską czapką na krótko strzyżonych włosach, z rękoma w kieszeniach spodni, lub skubiąc słomę. Podwórzowy pies dostał gości, a więzień przyglądał się ich zabawie, kurom i dzieciom, a w oczach przebijało coś na kształt żalu, że niema z nami nic wspólnego. Słowa dziewczyny: „Proszę, nie znęcajcie się nad nim!“ brzmiały wszędzie, gdzie tylko stanął, usiadł, lub poszedł. Wiedziałem, że zetną go z pewnością, a sądząc, że to bardzo niedługo nastąpi, odczuwałem jakieś trudne do opisania przerażenie, na samą myśl, że *on* ciągle sobie powtarza: za miesiąc umrę, a może za tydzień, za dzień, za godzinę... musiało to być nie do zniesienia. Przysunąłem się do niego, aby sobie jego kark obejrzyć; w tej samej

taraz w sali wchodowej widzimy na ciemnem zle malowanego „Adama“ Karola Terenczy'ego. Obraz ten mógłby z równem prawem nosić tytuł „Grecki Atleta“ lub „Gladyator rzymski“. Patrząc nań winszujemy malarzowi modelu o bardzo silnych i wyrobionych muszkułach, — ale też i nie wiele więcej. Komu jednak winszować można ogromnego sukcesu, to młodemu malarzowi monachijskiemu Landenbergerowi, który wystawił mały a prześliczny obrazek „Przed kąpielą“. Trzech swawolnych chłopców bawi się nad wodą, przed wejściem do kąpieli; — światło ześlizguje się z ich młodych ciał na lśniącą falę i drga w powietrzu, lekkiem, świeżem, wiosennem. Obraz zakupił książe panujący bawarski Luitpold. Nowa pinakoteka zakupiła też obraz jednego z najmłodszych. Jest nim „Wielki piątek“ Juliusza Ertera, obraz złożony z trzech części, — dwie boczne stanowią jakby dopełnienie srebrzystych, wykwintnych ram, w środkowej części klęczą na łące pod błękitnem nocnem niebem mężczyzni i kobiety, pogrążeni w modlitwie. Nad nimi Chrystus, niby obraz a niby wizya, od której bije światło. Dziwnie pomyślanym jest obraz Uhdego „O płaszcz Chrystusa“. Brutalni ludzie sprzeczają się o szatę Chrystusa. Widać te grube rysy mężczyzn, te martwe twarze kobiet, z których jedna dotknieniem ręki bada gatunek materyi Chrystusowej szaty. Czerwonawy ton obrazu jest czemś całkiem nowem u Uhdego — którego dotychczasowe kreacye malowane były jedynie w ciemnych, szarawych barwach. Nie wiadomo zkąd dostał się do przybytku secessyonistów, prześliczny obraz Maneta „Stary grajek“. Siwego, wiejskiego muzykanta otacza gromadka po murillowsku malowanych dzieci, wsłuchujących się w grę starego.

Najlepiej w tegorocznej secessyi reprezentowany jest pejzaż i portret. Widzimy tu jak nowoczesny malarz całkiem inaczej pojmuje naturę, niż dawniejszy, — widzimy że zbliżył się do niej i żyje w niej, — że zmysł jego zdaje się subtelniejszym i bardziej wrażliwym na pewne odcienia niż dotąd. Jednym z takich obrazów jest „Meeresleuchten“ Engla-Ciela, ciemna woda, po której sunie łódź, a w łodzi mężczyzna i kobieta. Tylko w miejscu gdzie młoda kobieta zanurza rękę w wodę, lśni morze fosforycznem magicznem światłem. Jest w tym obrazie poezyi dużo i prostoty dużo, — tak jak i w prześlicznym obrazie „Wieczór wiosenny nad brzegami Padu“ Ludwika Dilla. U Fanny Geiger i Emmy Liserke, malarek monachijskich, czuć też ten wpływ prądów nowych i szukanie natchnienia przedewszystkiem w naturze. „Wieczór“ jednej a „Jesień“ drugiej tchną bardzo subtelną harmonią barw.

Między portretami przedewszystkiem zwracają uwagę portrety Sambergera, który wytwornem pociągnięciem pędzla i śmiałością charakterystyki wyzwolił się już zupełnie z pod wpływu Lenbacha. Szczególniej udany jest portret Stucka o nadzwyczajnej sile w wykonaniu. George Santer występuje już na wystawie tegorocznej nie jako malarz początkujący, lecz jako skończony artysta. Tematem interesuje może najbardziej jego „Ordynacya u Kneippa“, pod względem artystycznym bardzo szlachetnie malowany jest obraz „Muzyka“ i „Przyjaciele“. Do portretu zaliczyć też trzeba obraz Sekerera, przedstawiający dwie Angielki, które przypominają nieco na szarem tle malowany o bardzo charakterystycznym wyrazie portret kobiecy Olgi Boznańskiej, zaliczonej w Niemczech i Francyi do najwybitniejszych artystów. Z kolonii polskiej spotykamy się jeszcze z p. Małgorzatą Kurowską i jej wiernym obrazkiem „Kollablüten“. Hirschenberg z Łodzi ma na wystawie obraz wsi polskiej, z resztą z naszych malarzy nie widać żadnego wśród secessyonistów. Zdaje się, że wystawa berlińska, gdzie „Die Polen“ mieli osobne sale, pochłonęła wszystkie wybitniejsze produkta naszej sztuki.

Z niemieckich debiutantów pierwszeństwo należy przyznać Hansowi Auersbergerowi, który ma na wystawie dwie głowy męzkie, malowane z taką miłością a przytem tak wiernie, bez wszelkiego idealizowania modelu, że przypominają spokojne a zamyślone twarze portretów holbeinowskich. Niedaleko obrazów Auersbergera wisi portret Herkomera, jedno z najpiękniejszych płócien jakie wystawa posiada i portrety pani Breslau z Paryża, pełne siły i wytworności w pojęciu; pani Breslau jest uczennicą Juliana, tego samego Juliana, z którego szkoły wyszła sławna a nieszczęśliwa malarka Marya Baszkirczew. —

Mówiąc o obrazach pięknych i obrazach ciekawych, nie można pominąć i tych, przed którymi ludzie stają i kiwają głowami. Są to obrazy najradykalniejszych między radykalnymi i najbardziej zagadkowych między zagadkowymi. Wobec panujących nowych prądów obrazy te cieszą się wielkiem uznaniem i admiracyą. W gruncie rzeczy jednak trudno zachwycać się sztuką, która na piedestale ideału artystycznego stawia ciemność, allegorye albo zagadkę. Jednym z takich obrazów jest „La destinée et l'humanité“. Twarz przeznaczenia niby wizya w środku obrazu. Na dole tysiące rąk wyciągniętych ku przeznaczeniu. Ten pomysł allegoryczny widzieliśmy już dawniej u Gabryela Maxa, jest ta chęć wyrażenia w rękach całego bólu, rozpoczy, beznadziejności i opuszczenia tysięcy. Pod względem techniki malarskiej płótno to należy do najświetniejszych, ale stojąc przed niem, mimowoli myślimy o owych błędnych ścieżkach, które z świątyni prawdziwej sztuki wiodą na bezdroża sztuczek i udanego mistycyzmu. Już wrażenie większej szczerości robi obraz belgiskiego malarza Knopffa, którego „Vielleicht“ i „Ein blauer Flügel“ przemawiają wprawdzie językiem niejasnym symbolów, ale przytem pewną poezyą mgieł i tajemniczości.

Spacerując tak wśród sal secessyonistycznej wystawy, wpatrując się w te płótna jasne lub tajemnicze — udane i nieudane, — piękne i niesmaczne — czujemy w całej pełni życie tej nowej, tej młodej sztuki. A przed oczyma naszemi przesuwają się dawno niewidziane obrazy starych mistrzów. Widzimy Tycyana z jego pełnią i bogactwem barw,

---

chwili położył nań rękę, małą, brunatną rękę, a później nie mogłem się uwolnić od tego obrazu, że może w chwili, kiedy mu topór przyłożą na szyję, on palce wsunie pod niego.

Dozorców i jego zawołano do stołu. Byłem ciekawy, czy przezwycięży się do jedzenia. Ale jadł i rozmawiał na równi z drugimi, a mnie obawa opuściła na chwilę. Ale zaledwie wyszedłem na podwórze i zostałem sam, skupiłem moje myśli i dumałem nad tem, że jest jednak niesprawiedliwie, iż na słowa jej „Proszę, nie znęcajcie się nad nim“ — nikt nie zważa i zupełnie je pominięto. Musiałem pójść, ojcu to opowiedzieć; lecz on powolny i poważny z pisarzem małym ruchliwym przechadzali się po pokoju, rozmawiając głośno i głośną rozmową zagłuszając moje serdeczne obawy. Wymknąłem się znów i zbliżyłem do jego surduta i głaskałem go.

Przesłuchiwanie odbywało się u góry w naszej izbie szkolnej, nauczyciel mój był sekretarzem, a mnie pozwolili siedzieć i przysłuchiwać się. Pisarz używał swego głosu w ten sposób, że przez otwarte okno było go słychać na całym dziedzińcu; biedak musiał dawać sprawozdanie z całej niedzieli, której ją zamordowano, z każdej godziny tego dnia; zapierał się, przysięgał z całą stanowczością, że *on* tego nie uczynił. W badaniach sędziego przebijała się nietylko bystrość, lecz także pewna łagodność; poruszył Pera aż do łez, ale nic wydobył żadnego zeznania.

— Pozostaniemy tutaj długo — odezwał się sędzia zaraz pierwszego dnia do mej matki, po ukończonych przesłuchach. Ale pod wieczór ukazała się siostra Pera na podwórzu i została całą noc przy nim; słyszeliśmy ją błagającą i płaczącą, a rozpaczała bezustannie. Rano był Per blady i milczący; przed sądem wziął Per całą winę na siebie.

Sprawa cała miała się tak: objaśniał, że miał pewne obowiązki względem niej, a matka była jej bardzo przeciwna; spotkali się jednej niedzieli w lesie, kiedy ona z książką do nabożeństwa szła na mszą; usiedli i zapytał jej, czy i ona nosi się się z zamiarem, podania jego jako ojca dziecięcia, które ma się narodzić; w owej nędzy i rozpaczy szukała pociechy w modlitwie i mszy św. Odrzekła, że nie może innego podać. Mówił jej, co to za wstyd będzie dla niego, i że matka jego już dzisiaj nie posiada się z gniewu. Tak, i ona wiedziała o tem dobrze, że matka jego gniewa się na nią, a ze strony Pera dziwiło ją, że jej nie broni! on bowiem najlepiej poinformowany, z czyjej winy to wszystko się stało. Ale Per utrzymywał, że dla innych była równie uprzejmą jak względem niego i dla tego nie widzi przyczyny, żeby właśnie jego uznawała za ojca dzieciny. Próbował rozmaitych forteli, żeby ją rozgniewać; ale nie udawało mu się, była bowiem zbyt łagodną. Mimo wszystkiego zdecydował się na to. W trawie, na której siedziała, przechował siekierę, teraz ją wydobył i uderzył ją silnie w tył głowy. Nie zemdlała zaraz, ale poczęła się bronić i błagać o życie. Co się dalej stało, tego już nie wie; sam bowiem był kompletnie nieprzytomny. Na dalszy rozwój spraw przyjął tłomaczenie, które mu podsunięto. Siostra czekała na niego na dziedzińcu, dopóki nie wyszedł po przesłuchach, zapłakany i osłabiony; szli znów obok siebie i szeptali. nie mogę zobic postaci tej dziewczyny uprzytomnić inaczej, jak przygarbionej i płaczącej.

* * *

Było to zimą, gdy go mieli ściąć. — Uwiadomiono go o tem krótko przed egzekucyą; wszyscy domownicy mieli pełne ręce pracy; ojciec miał przemówić do niego na miejscu stracenia, proboszcz zaś jako opiekun jego duszy i sumienia, i woźny powiatowy, mieli przybyć do nas dzień poprzednio.

Per, dozórcy, przyjaciel jego nauczyciel Jakobsen, wszyscy mieli spać razem w szkole; jemu i Jakobsenowi mieliśmy posłać jedzenie.

Przypominam sobie dokładnie jak pewnego dnia przyjechali z Moldy łodziami proboszcz, woźny powiatowy i zasądzony na śmierć. Ale mnie posadzili w szkole i przez cały dzień nie mogłem się ruszyć od książki.

Zakaz ten robił całą sprawę więcej tajemniczą. Ściemniało bardzo wcześnie, morze odbijało ciemnym kolorytem od białawego wybrzeża, chmury piętrzyły się; obawialiśmy się burzy. W tem wybuchł kominem na probostwie ogień, większa część żołnierzy rzuciła się w tamtą stronę, aby biedz z pomocą; wielką sikawkę wytoczono ze śpichrza; była niezwykle ciężka i wielka, nawet miano kłopot z ustawieniem jej, wreszcie ojciec mój utorował sobie drogę wśród tłumu, podbiegł do miejsca pożaru i uszykował ją. — Jeszcze do dzisiejszego

Holbeina o głębokiem a subtelnem zrozumieniu dusz ludzkich, Rembrandta z jego obrazami o wspaniałych nastrojach i mrocznem oświetleniu, — a wtedy czujemy, że cała ta nowa sztuka, z wszystkiemi swoimi sławnemi i osławionemi wielkościami, z wszystkiemi teoryami nowemi i hasłami nowemi, nie stworzyła nic, czego by już dawno nie było w wiecznie pięknych i w wiecznie nowych obrazach starych mistrzów. *L. R.*

Nowiny literackie z Berlina.

Nowości teatralnych, które zrobiły wrażenie, jest i w tym sezonie nadzwyczaj mało; nad przeciętny poziom wznoszą się tylko dwie sztuki: Philippi'ego „Droga cierniowa" przypomina sztuki francuzkie, obliczone na efekt i targanie nerwów. Młody człowiek okrada kasę i wyjeżdża w świat. Podejrzenie pada na kasyera, który też zbezczeszczony wędruje do więzienia. Matka prawdziwego zbrodniarza, szlachetna, w miłości ku synowi zaślepiona, dowiaduje się o prawdziwym stanie rzeczy i nie ma siły wydać winnego. W tem konflikt dramatyczny. Aby bodaj w części naprawić winę, bierze ona do swego domu córkę niewinnie zasądzonego, opiekuje się nią, etc. — aż do chwili, w której do domu przybywa drugi jej syn, adwokat z zawodu, a pociągnięty urokiem biednej dziewczyny, zainteresowany przebiegiem procesu jej ojca, przychodzi do przekonania, iż zasądzony zarzuconej mu zbrodni nie popełnił. Postanawia tedy szukać prawdziwego winowajcy. Można sobie tedy wyobrazić całą gamę przerażenia i bólu matki; po wyjściu eks-kasyera z więzienia rzuca mu się do nóg i wyznaje całą prawdę. W nim budzi się uczucie zemsty. Na szczęście córka, która serce oddała młodemu adwokatowi, wstrząsa uczuciem biednego ojca.. Zasłona spada: przygnębienie, wiejące z treści sztuki, nas opuszcza; po chłodnej rozwadze widzimy, ile jest nieprawdy w sytuacyach, tudzież, że postawionego problematu etycznego autor wcale nie rozwiązuje.

Inne zadanie postawił sobie Ludwik Fulda. Autor ten wsławił się głównie satyrą „Talizman", graną także na polskich scenach, w której forma bajki dramatycznej daje mu sposobność do chłostania serwilizmu i śmieszności dworu. Obecnie obrał znowu sferę nawpół bajeczną. „Wyspa Robinsona" służy mu do okazania całej nieporadności charakteru i nicości moralnej ludzi, którzy, przyzwyczajeni do życia z cudzej pracy, do zbytków, fałszów i wygód, dostają się nagle na odludną pustynię. Milioner Castor, który z przybraną córką, z księciem, kandydatem do jej ręki i zaproszonem towarzystwem odbyła podróż naokoło świata, znajduje się niespodzianie, wskutek rozbicia okrętu, w miłem położeniu bohatera z romansu Daniela Defoe. Dowództwo nad zrozpaczonymi rozbitkami, wczorajszymi pieszczocpami losu, obejmuje niedawno wzgardzony przez nich proletaryusz, zahartowany w szkole życia. Rok cały trwa jego panowanie, a Fulda pragnie przez ten czas okazać jego wyższość, a nicość, przesądy, śmieszności, zniedołężenie ludzi, przywykłych do komfortu, zepsucia i kłamstw współczesnej cywilizacyi. Sam pomysł sztuki jest oryginalnym i pięknym, w przeprowadzeniu atoli zabrakło autorowi siły. Zamiast szerokiej satyry, daje żarty i koncepty. Mimo to należy sztuka do bardziej interesujących i powinna pójść na deski jednego z naszych teatrów.

Ciekawą decyzyę powziął w tych dniach jeden z tutejszych trybunałów sądowych — nie ku swej sławie — w sprawie, która interesowała szerokie koła literackie. Bohaterem był znany w całej Europie pisarz skandynawski August Strindberg. Przed kilku laty wyszła tutaj w tłomaczeniu powieść jego p. t. „Spowiedź głupca", i zrobiła potężne wrażenie. Pisana w formie autobiografii, książka zionęła taką nienawiścią do rodu kobiecego, a szczególnie dzieje miłości, potem małżeństwa ‚bohatera przedstawiała z taką nagością, z takiem naprężeniem uczuć, iż trzeba było ją poczytywać za jeden z najciekawszych „dokumentów" psychologii współczesnej, pisany z wysokim artyzmem. Prokuratorya ma atoli inne kryterya literackie. W książce wpadły jej w oko przedewszystkiem zbyt śmiałe obrazy z za kotary małżeńskiej, dzieło Strindberga zostało więc skonfiskowane, a tłomaczowi i nakładcy wytoczono proces. Sprawa ciągnęła się dotąd, obrońca dostarczył dowodu — przez urzędowe przesłuchanie świadków w Sztokholmie — iż Strindberg pisał istotnie spowiedź ze swojego małżeństwa nieszczęśliwego i manuskrypt przeznaczył początkowo li dla rodziny. Publikacyę przedsięwziął potem pod przymusem. Po tem ciekawem stwierdzeniu faktu, zajął się trybunał na dwóch posiedzeniach przestudyowaniem całego poważnego tomu — poczem zawyrokował, iż zawiera on treść niemoralną, mimo, iż autor niemoralnemi myślami się nie kierował. Cały nakład ma być zniszczony... Kryteryum artystyczne w grę wcale nie wchodziło.

W. F.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Dokończenie).

Podczas gdyśmy tak siedzieli pod drzewem, zbliżył się do nas Henryk, żona i pani

---

dnia wspominają o tem w całej parafii, tak samo jak i o tem, że woźny powiatowy, mały, zręczny cygan, wziął w każdą rękę kadź od prania i wszedł na drabinę tak wysoko, że dostał się na sam szczyt dachu. — Ciemny fiord, niespokojne przesuwanie się chmur, płomienie i wrzawa, wszystko to było groźną i złą wróżbą... a po zatem wielka ogólna cisza, ach i owe szepty w pokojach i na podwórzu, gdzie kilka osób spacerowało, patrząc na spokojne światło w szkole.

Tam siedział nauczyciel Jakobsen z swym przyjacielem; wracający z tamtej strony opowiadali, że śpiewają i modlą się wspólnie. Rodzina Pera przybyła pod wieczór łodzią, poszli do niego na górę i pożegnali się; skazaniec podobno był pełen nadziei, że na drugi dzień stanie przed obliczem Boga, upominał podobno wszystkich i prosił usilnie wszystkich, ażeby pozdrowili od niego matkę i do końca życia obchodzili się z nią dobrze. — Niektórzy opowiadali nawet, że i ona przybyła łodzią, ale nie chciała wejść do syna. Nie było to prawdą; tak samo jak było kłamstwem opowiadanie, że kilku członków rodziny asystowało przy egzekucyi. Obudziłem się rano niezmiernie przygnębiony i z wielkim strachem. Powietrze zmieniło się i było pogodne; ale mimo tego było jakoś duszno; nikt nie odzywał się głośno, a wszyscy mówili o ile mogli jak najmniej.

Miałem także asystować i przyglądać się ścięciu, i dlatego spieszyłem się, aby odszukać mego nauczyciela; ponieważ miałem rozkaz, żeby być pod jego opieką. Obaj duchowni — proboszcz i ojciec mój — zjawili się w rewerendach, zeszliśmy do przystani i przepłynęliśmy łodziami jednę czwartą drogi.

Skazaniec i jego otoczenie pojechali naprzód i czekali na nas u przystani, ażeby ostatni kawałek drogi do miejsca stracenia iść piechotą. Ścięcie miało nastąpić na rozstajnej drodze, a w całej okolicy tylko *jedna* się znajdowała, i to w Eidsvaag mniejwięcej o milę od miejsca mordu oddalonem. Woźny powiatowy rozpoczynał korowód, za nim postępowali żołnierze, dalej skazaniec, otoczony z jednej strony proboszczem, z drugiej moim ojcem, następnie postępował Jakobsen i mój nauczyciel, a ja pomiędzy nimi, potem gromada rozmaitych ludzi, a kończyli cały szereg znów żołnierze. Szliśmy ostrożnie po ślizgiej drodze; kapłani rozmawiali bez przerwy z tem niezwykle bladym człowiekiem; oczy jego były zmęczone, a wyrażały taką łagodność, mówił bardzo mało. Matka moja, która go otaczała pieczołowitością i okazywała wiele dobroci, a której on serdecznie za to dziękował, dała mu na drogę butelkę wina, aby się mógł pokrzepić; kiedy nauczyciel mój podał mu wina, po raz pierwszy spojrzał na księży; pragnął się od nich dowiedzieć, czy to nie jest grzechem. Ojciec mój przypomniał radę, jaką Piotr dał Tymoteuszowi — a on usłuchał i napił się sporo.

Wzdłuż drogi stali ludzie, którzy byli ciekawi oglądać go, a następnie złączyli się z całym pochodem; pomiędzy nimi byli także jego rówieśnicy, których ukłonami ze smutkiem żegnał; kilkakrotnie też uchylał czapki, tej samej płaskiej czapki, którą miał, kiedym go widział po raz pierwszy. Było widoczne, że przyjaciele jego mieli do niego powne przywiązanie: widziałem też młode kobiety, które płakały i wcale nie kryły się ze swemi łzami. Szedł z rękoma na piersiach złożonemi, prawdopodobnie modlił się. Gdy przybyliśmy na miejsce, oziębiająco na nas oddziałał grzmiący kapitana głos: „baczność"! Wojsko ustawiono otwartym czworobokiem, który się zamknął, gdy woźny okręgowy, duchowni i skazany i kilka osób w środek jego weszło. Do tych ostatnich i ja należałem. Zebrał się tutaj wielki, milczący tłum ludu, a ponad wszystkich sterczał sołtys w trójkątnym kapeluszu, na koniu. Rozpoczęło się wszystko odczytaniem przez sołtysa wyroku i królewskiego rozkazu. Sołtys stał nad grobem, pokrytym gładkiemi deskami, na końcu tych desek ustawiono pień: po drugiej stronie grobu zbudowano małe wywyższenie, z którego miał przemawiać proboszcz. Per Hagbö klęczał na stopniu, głowę pochyloną ukrył w dłoniach, klęczał tuż przy nogach duszpasterza. Proboszcz był Duńczykiem, jeden z tych niewielu, którzy przy podziale udali się do Norwegii: mowy jego były na papierze znakomite, ale niełatwo zrozumiałe, mianowicie wtenczas, gdy go wzruszenie opanowało, a do tego nie wiele było potrzeba. Wtenczas to ostatnie słowa bardzo głośno wymawiał, potem jednakże tulił głowę między ramiona, potrząsał nią ciągle, mrużył oczy i w przerwach wybełkotał kilka niewyraźnych słów. Kołnierzyki wysokie, sięgające mu po za uszy, — nigdy nic podobnego nie widziałem — powiewały mu nad gładko wystrzyżoną głową, a ramiona jeszcze ponad owe kołnierzyki się

Halina, i zasiadłszy obok nas na trawie, przyłączyli się do rozmowy, która poszła dalej tym samym torem. Z powodu iż niema tu oficerów, wyższych urzędników, polityków i w ogóle wydatniejszych ludzi Polaków, wszystkie względy kobiece, przypadające w innych krajach tym mężom w udziale, dostają się w Polsce przeważnie autorom i wszelakim artystom. Niema miasta na świecie, gdzieby nie było kilku ludzi takich, których kochają wszystkie kobiety mające serca niezajęte; taki człowiek jest rodzajem przytułku dla tych biednych serc, błąkających się bez celu. Tu w Polsce przytułkiem takim jest Henryk Sienkiewicz, jakkolwiek liczy lat około pięćdziesięciu i powierzchowność jego nie może zaliczyć się do wybitnych. Sławie jednak swojej i podziwowi, jaki wzbudziły jego pisma, zawdzięcza to odznaczenie, że marzą o nim prawie wszystkie kobiety, co tem dziwniejsze, że nie jest poetą i nie napisał ani jednego(?) rymowanego wiersza*). Gdy przybędzie do licznie odwiedzanej klimatycznej stacyi w górach tatrzańskich, lub do Warszawy, robi się zaraz ruch ogromny pomiędzy kobietami, począwszy od babek a kończąc na dzieweczkach uczęszczających do szkoły. Niestety jednak, niezmiernie mało jest on wrażliwym na tego rodzaju odznaczenia i nie ubiega się wcale o nie. Nawet niepowodzenie jego w małżeństwie nie zmniejszyło otaczającego go uroku. Ożenił się on niedawno po raz drugi z 18letnią panienką, ze sfer najwyższych; urządzono wszystko tak, by to małżeństwo możliwie wiele miało rozgłosu: Kardynał związał ręce stułą młodej parze w krakowskim katedralnym kościele, Papież przesłał jej swoje błogosławieństwo, cała arystokracya była obecną temu ślubowi, ale zaledwie upłynęło kilka tygodni, młoda pani porzuciła swego męża i wróciła pod opiekę matki.... Ogół kobiet jednogłośnie ją potępia.

Żywiej jednak i goręcej niż dla jakiegokolwiekbądź człowieka biją serca tych kobiet miłością wielką, natchnioną, dla Ojczyzny, żadne uczucie nie jest w nich nad to silniejszem, są w stanie ponieść największe ofiary dla patryotycznych celów, czego też nieustannie dają dowody. Pewnego dnia zdarzyło mi się słyszeć tu w towarzystwie wychowanego w Anglii obywatela Polaka, utrzymującego, iż brak obecnie uczuć patryotycznych w Polsce. Mężczyźni zaprzeczyli mu wprost, lecz panie, — była to istna komedya dla patrzącego — z zaiskrzonemi oczami, z zarumienionemi policzkami otoczyły go kołem, a głosy ich drżały z oburzenia, gdy nań napadały. Rozgniewana, jedna z najmłodszych pań zawołała do niego: „Obiecałam panu, że go zabiorę napowrót w moim powozie, nie chcę teraz, możesz pan iść sobie piechotą“. —

Zgodziliśmy się też wszyscy na to, że gdyby ten święty płomień miłości ojczyzny nie gorzał tak silnie w sercu polskiej kobiety, dawno już nieprzyjaciele tego kraju wygraliby sprawę, gdyż żaden inszy naród na świecie nie ma takich ciężarów do dźwigania — i potężnej siły potrzeba, by nie uledz tym otaczającym go ze wszech stron rozlicznym prześladowaniom.

Położenie Polaków jest takiem, że każdy nowy pomysł czyjkolwiek, obrócony przeciwko nim, daje się przeprowadzić, każda nędzna osobistość, mająca ochotę do zużytkowania swych zdolności ma otwarte pole do działania względem nich nieprzyjaźnie.

Bardzo rzadko się zdarza, iż przypadek odkrywa, jakto miało miejsce w zeszłym roku, podobną działalność i pozwala szerszym kołom wejrzeć w rzeczy, które się bezkarnie niemal codziennie przytrafiają. Student, nazwiskiem Hendigery, uczęszczający do tutejszego uniwersytetu, poznawszy miejscowe stosunki, postanowił z tych skorzystać i bądź co bądź jakimkolwiek kosztem zrobić karyerę.

Zaczął tu pisywać do gazet i z najlepszemi rekomendacyami udał się do Krakowa. Przystojny, zręczny, jeden z tych łotrów, którym się zawsze udaje, bo poczciwi ludziska myślą, że tacy znajdują się tylko w nędznych romansach, wystąpił w Krakowie jako ofiara prześladowania rządu rosyjskiego i był tam najserdeczniej przyjęty, czego dowodem, iż zaledwie po miesiącu znajomości ożenił się z ładną i majętną córką zacnego i przejętego patryotycznemi uczuciami profesora. Ale natychmiast po przybyciu H. zaczął prowadzić korespondencye z przedstawicielami policyjnej władzy w Petersburgu, którym objawił, że będzie w stanie złożyć w ich ręce dowody przeciw wszystkim wybitniejszym ludziom w Warszawie, dając przytem do zrozumienia, że nie wskutek nieostrożności tych ludzi, ani należenia ich do jakichbądź antirządowych spisków, lecz tylko dzięki jego własnemu sprytowi i wyjątkowemu uzdolnieniu znajdzie się materyał oskarżający. Propozycyę jego przyjęto chętnie. Zaopatrzony w sfałszowany paszport, udał się on w poślubną podróż, ze swą młodą małżonką do Petersburga, — jakkolwiek miała to być wycieczka na południe, — miał audyencyę u szefa tajnej policyi i w porozumieniu z nią przygotowywał potrzebne kroki.

Po powrocie do Galicyi zaczął się niezmiernie interesować kopalniami, odwiedzał górników, niby to w celu zbadania ruchu robotniczego, w istocie zaś by się zaopatrzyć w dynamit, gdy zaś po pewnym czasie przyszedł do posiadania dostatecznej dla swych celów jego ilości, zrobił ni mniej ni więcej jak 150 paczek palnego materyału, które zaadresował do tyluż osobistości, widocznie wskazanych mu przez władze rosyjskie, w Warszawie. Paczki te pozaszywał w ubranie człowieka, któremu zapłacił sowicie za przeniesienie ich przez granicę Tymczasem gdy się to działo, władze austryackie zwróciły uwagę na dziwne zachowanie się jego. Wiedziano iż wyjechał niby na południe, lecz natychmiast ztamtąd udał się do Petersburga, wiedziano iż chętnie odwiedza kopalnie i przestaje z górnikami, postanowiono więc sprawdzić jak rzeczy stoją, i aresztowano jego posłańca, nim dotarł do ru-

*) W literaturze skandynawskiej wszyscy wydatniejsi autorowie są zarazem poetami.

---

wznosiły i poruszały nad głową: długie ćwiczenie sprawiło, iż umiał je wyżej podnosić niż każdy inny śmiertelnik. Kto go nie znał — a znać go, znaczyło tyle co kochać go! — nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Mowy jego nie słyszano i nie rozumiano, lecz była krótka, musiał ją przerwać ze wzruszenia. Tylko j e d n o pojęli wszyscy, przywiązał się do bladego młodzieńca, którego przygotował na śmierć, a życzył, aby wszyscy tak radośnie i spokojnie opuszczali świat ten, jak on dzisiaj. Gdy zeszedł z wywyższenia uściskali się na pożegnanie. Per podał następnie ojcu memu rękę i kilku innym, potem stanął obok przyjaciela swego Jakobsena; zrozumiał on co to znaczy, wydobył chustkę i obwiązał oczy Pera, mówiąc do niego cicho, otrzymując ciche od niego odpowiedzi. Ktoś się zbliżył, aby Perowi związać ręce na plecach, lecz on prosił, aby tego nie czyniono; życzeniu jego stało się zadość. Jakobsen wziął go za rękę i wyprowadził naprzód. Tam, gdzie Per miał ukląknąć, przystanął Jakobsen, a Per powoli zgiął kolana. Jakobsen trzymał go jeszcze za rękę i pochylił się nad nim, aż głowa jego spoczęła na pieńku; potem cofnął się i złożył ręce do modlitwy. Widziałem to, spostrzegłem też, jak do Pera przystąpił wysoki mężczyzna i obnażał muszkuły jego karku, a inny wydobył z chusty nadzwyczaj ostry topór. Wtenczas się odwróciłem. Usłyszałem straszliwie brzmiące słowa: „prezentuj broń“ — posłyszałem jak ktoś mówił „Ojcze nasz“ — może to Per sam był, — potem uderzenie, akby kto ciął w głowę kapusty. W tej chwili podniosłem oczy; spostrzegłem jak jedna z nóg drgnęła; o kilka stóp od ciała leżała głowa, a usta jej kurczowo się poruszały. Pomocnik kata przyskoczył, schwycił za rogi chustki i rzucił głowę do ciała; deski były położone na trumnie, zdjęto je prędko, ciało też zaraz w niej spoczęło, potem spuszczono trumnę do grobu. Teraz wszedł ojciec mój na wywyższenie; rozumieli go wszyscy, a potężny jego głos rozbrzmiewał tak daleko, że dziś sobie jeszcze opowiadają o tem w parafii. Gromową wymową przestrzegał on młodzież przed nałogami, którym się oddawano w tej okolicy: przed pijaństwem, pieniactwem, wszetecznictwem i innemi namiętnościami; kazanie musiało się słuchaczom bardzo spodobać, gdyż na drodze do domu skradziono mu je z kieszeni rewerendy.

Na mnie samym egzekucya takie wywarła wrażenie, iż zdawało mi się, że nie zadługo i mnie ta kara spotka; później mówiłem z wielu innymi, którzy mieli zupełnie to samo uczucie. Ojciec mój i proboszcz jedli obiad u kapitana razem z innymi urzędnikami, lecz przyszli prosto z obiadu do domu.

Proszę jednak wystawić sobie przerażenie moje, gdy siedząc w kącie — nikt na mnie nie zważał — usłyszałem, jak proboszcz mym rodzicom opowiadał, że Per zeznał we więzieniu przy najświętszym Sakramencie, iż nie on zawlókł dziewczynę do stromej skały i nie on ją zrzucił, jeżeli zaś proboszcz żąda, może mu wymienić sprawcę. Proboszcz jednakże odrzekł mu, że tylko z nim ma do czynienia! Później słyszałem jak w parafii wszędzie mówiono, że matka namówiła Pera, aby zgładził dziewczynę z tego świata, jeżeli nie chce podać kogo innego za ojca dziecka nieprawego. Mówiono też, że Per ranił ją siekierą i starał się ją zrzucić, lecz zaniechał zamiaru i uciekł; poczem się zbliżyła matka i dokonała czynu. Za matkę więc poniósł śmierć, to było to, do czego go siostra zniewoliła; ta też była tajemnica, która go wiązała tak ściśle z Jakobsenem, to też było przyczyną, iż proboszcz tak się do niego przywiązał, — tak ja sobie później kombinowałem.

Opiszę też tych, którzy w dniu owym przy wyroku zastępowali króla i sprawiedliwość, — nie opiszę ich z nazwiska, lecz z charakteru. Kapitan był mężczyzną pełnym życia i siły, brał udział w naszych ostatnich dwóch wojnach, lecz był tak obojętnym na wszystko, co miało styczność z moralnością, iż oskarżano go ostatecznie o zbrodnię tak oburzającą, iż nie chcę jej tutaj wcale wymienić; nie ukarano go wprawdzie, lecz nikt o jego winie nie wątpił. Sołtys dostał się na dziesięć lat do domu karnego za oszustwo w urzędzie, człowiek ten już wtenczas nie był bez winy, gdy z innymi jadł obiad; mój ojciec o tem wiedział. Woźny okręgowy drapnął za morze, a gdy przejrzano jego rachunki i papiery, pokazało się, że pół parafii straciło swoje pieniądze; na nikogo w całej okolicy, po śmierci, tak nie wymyślano jak na niego.

Minęło już przeszło pięćdziesiąt lat od tego czasu; od owej chwili w Norwegii zmieniło się wiele.

KONIEC.

skiej granicy. Rewizya w jego mieszkaniu wykazała mnóztwo listów i telegramów z Petersburga, które, jakkolwiek redagowane z niezmierną oględnością, odkryły blizkie i poufne stosunki politycznej „ofiary“ z jej prześladowcami. Wynikł z tego wielki proces, a młoda jego żona, zaledwie w pięć tygodni po ślubie, dowiedziała się, kogo zaślubiła. Rosyanie wyparli się naturalnie wszelkich z Hendigerym stosunków, ten zaś został skazany na 10 lat ciężkiego więzienia, w którym dotąd pozostaje. Była to chybiona gra na wielką stawkę.

Ze cesarz nie zawsze wie, w jaki sposób system państwowy jest za stósowanym w Polsce, wykazała to dowodnie tegoroczna sprawa w Krożach, gdzie z okazyi zabrania na cerkiew kościoła katolickiego popełniono zabójstwo i sieczono nahajkami lud broniący doń przystępu Jedna z rosyjskich księżniczek, bawiąca za granicą, wyczytała opis tego zajścia w tamtejszych pismach i wysłała wycinek gazety w liście prywatnym do cesarza. Ten, nie wierząc by to było prawdą, wysłał ówczesnego ulubieńca swego ks. Kantakuzena na miejsce, dla wyjaśnienia sprawy, lecz trzeba wydarzenia, że jenerał-gubernatorem tej częś i kraju, w której się znajdują Kroże, był jenerał Orżewski, dobry przyjaciel i kolega Kantakuzena. Rzecz załatwiła się przyjaźnie pomiędzy nimi i K. powrócił do Petersburga z wiadomością, że wszystko to było śmieszną przesadą, że użyto siły względem paru chłopów, którzy stawili opór władzy, lecz nie uczyniono im żadnej szkody, oprócz, że może któremu z nich poszła krew z nosa. Sprawa ucichła, lecz księżniczka podrażniona tem, iż zaprzeczono jej doniesieniu, dostarczyła dowodów na poparcie swego twierdzienia. Wtedy Orżewski stracił posadę*) Kantakuzen zaś wydalony z granic Rosyi, pojechał do Paryża gdzie wkrótce umarł.

Cudowny był wieczór, słońce zasuwało się zwolna za zasłonę z ciemnych chmur, bramując każdy obłok złocistym rąbkiem, dokoła cisza, którą przerywały tylko krzyki młodych przepiórek, płoszonych przez goniące się po polu pudelki pani Maryi. Ostatni to był wieczór, któ y spędzałem w tych stronach, to też rozglądałem się po okolicy, którą nieprędko zapewne na nowo ujrzeć miałem. „Wróć do nas — wróć niezadługo! rzekł do mnie Henryk — nie znudzisz się przy bibliotece zawierającej 8000 tomów, a jeśli zechcesz czegoś innego, powiedz mi, a sprowadzę zanim przyjedziesz“. — „Nie zapominaj pan o nas, lecz wróć na rok przyszły — dodała pani Marya. Znamy się już od lat dziesięciu; a przyjaźń łącząca nas, nie osłabła, lecz wzmagała się bezustannie. Przyjedź dla ludzi, nie dla książek, nigzie może nie masz sobie życzliwszych“. Młody ksiądz się uśmiechnął i dorzucił swoje serdeczne słówko: „Będziemy znów z panem bronić Jezuitów przed starym R....iczem i dyskutować nad księgami proroków, by się w końcu zgodzić na jedno, że jednak jest coś ponad próżnościami“. — Ach! przyjedź pan — zawołała p. Halina, i odezwij się znów do nas w sali ratusza, zbierzemy się tłumnie i z całego serca pana oklaskiwać będziemy. Nie zapominaj o nas“. A wiatr szemrał w liściach wysokiej topoli: Nie zapominaj nas, nie zapominaj! Cała Europa już o nas zapomniała, ty nie zapomnij o tym sympatycznym i bogato obdarowanym narodzie, co czuje tak głęboko, marzy tak silnie i kocha tak gorąco. Nie zapominaj o ziemi, w którą tyle szlachetnej krwi wsiąknęło, o kraju opuszczonym od Boga i prześladowanym przez ludzi. Nie zapominaj!

*) Nieprawda, bo dotąd ją zajmuje, a młody cesarz udarował go nawet nowym orderem. Przyp. tł.

Nędza ślązka.

Niemcy, znani ze swej pohopności do odszukiwania ździebeł w cudzych oczach, lubią rozwodzić się w najczarniejszych barwach o ubóstwie Irlandyi, rzucając kamyki a niekiedy brukowce do ogrodu Anglii. Miłość ku bliźniemu i nieskończona dobroć serca dyktują im również współczucie dla znękanej Sycylii. Barbarzyńscy Anglicy i bezsercowi Włosi! — woła kulturträger. Lecz kto w szklannym gmachu siedzi, niech nie rzuca kamieniami... Niechże Niemcy wyjmą belkę ze swych oczu, a wtedy ujrzą i u siebie Irlandyę! Wszak każdy przyzna, iż Ślązk może co do nędzy dorównywać temu krajowi. Jak djabeł święconej wody, tak niemiecka prasa obawia się samej wzmianki o Ślązku, który obciąża jej sumienie. Pisma zaczynają mówić o tym kraju dopiero wtedy, gdy żywioł słowiański w sposób bezpretensyonalny podnosi głowę i protestuje przeciwko swemu ubóztwu wyborem posła z pośród ludzi miejscowych, chcąc, by ten zaniósł przed reprezentacyę niemieckiego narodu skargę pomiatanego kopciuszka. Wtedy prasa niemiecka budzi się i ryczy, jak byk rozdrażniony widokiem czerwonej chusty. Dzwony alarmowe huczą z całej siły, by obudzić czujność germańczyków ze względu na niebezpieczeństwo, grożące im ze strony Słowian, ich odwiecznego wroga.

Litość dla Ślązka wstępuje w serce germańskie w wypadkach wyjątkowych. Tak, przed kilkunastu laty Virchow, delegowany dla zbadania przyczyn srożenia się tyfusu głodowego, wskazał swoim rodakom na ekonomiczne upośledzenie Ślązaków, jako na przyczynę ich niedoli. Niemiecka prasa, bijąc się w piersi, wołała: „peccavi!“.

W tych dniach w jednem z pism krańcowej lewicy ktoś uchylił rąbek zasłony, która zakrywa przed Niemcami nędzę Ślązka. „Wobec Górnego Ślązka wszystko blednie — wykrzykuje autor. — Dostatecznie rzucić przelotne spojrzenie na kilku przechodniów, by nabrać pojęcia o bezmiarze nędzy szląskiej. Zamiast odzieży, rzucają ci się w oczy łachmany, a w najlepszym razie spostrzegasz ubiór brudny, łatany i wytarty. Coś, co przypomina bardzo obuwie, jest błotem, które obległo nogę. Tego naturalne go obuwia nie zmienia Ślązak i w dzień świąteczny. Najdobitniej mówi koścista i wychudzona twarz, na której brak wszelkiego śladu myśli, z której apatya i przygnębienie nigdy nie schodzi. Ci tylko, co od czasu do czasu zaglądają na dno kieliszka, stanowią swem ożywionem obliczem, że się tak wyrażę, pocieszający wyjątek. Z mokrej, błotnistej sieni, wysłanej zgniłą słomą i odpadkami od królewskich uczt Ślązaków, prowadzi otwór, wielce przypominający drzwi do mieszkania. Oczywiście, wyraz tego rodzaju jest wolnością poetycką. Bo jakże nazwać mieszkaniem jaskinię troglodyta, w której znajduje się legowisko, w postaci pęku zgniłej słomy. Na tem łożu Madejowem powierza pieszczotom Morfeusza swe skołatane członki cała rodzina, nie zdejmując nietylko wyżej wspomnianego obówia, lecz i swej, że się wyrazimy delikatnie, garderoby. „Niekiedy, oprócz legowiska, znajduje się w mieszkaniu i komin dla gotowania strawy“. Naratorska zdolność autora okazała się za słabą dla oddania szczegółów tej strawy.

O godz. 4 rano wstaje ślązki górnik, by udać się na swą dwunastogodzinną pańszczyznę, która daje zarobek, wynoszący mniej więcej naszego rubla. Dręczone ciało i więziony w smutku a ciemności duch, szukają zapomnienia w alkoholu, tym haszyszu wszystkich paryasów. Autor podaje swoje rozmowy ze Ślązakami, których opowieści brzmią, jakby bajki z „Tysiąca i jednej nocy“. Trzeba nader potężnej fantazyi, by odtworzyć tak harmonijny pod wszelkiemi względami obraz nieludzkiego istnienia i beznadziejnej rozpaczy.

Ze zdziwieniem dowiedział się autor z ust swych interlokutorów, iż są tam zupełnie nieznane przepisy państwowe, dotyczące pracy w fabrykach i kopalniach. Wskutek zupełnej ciemnoty najmitów przepisy te pozostają martwą literą, gdyż miejscowi królikowie, nie czując znikąd presyi, nie kwapią się zbytnio z wprowadzeniem w życie odpowiednich ustaw. Państwo jest bezsilne wobec ślązkich feodałów industryi, którzy, jakby urągając prawodawstwu społecznemu, nie znają żadnych granic, oprócz granic swego własnego apetytu, gdy idzie o wyzyskiwanie „płci pięknej“ i dzieci. Za jedną markę pracują kobiety po dwanaście godzin dziennie przy ładowaniu węgli, nie przerywając swej pracy podczas skwaru, deszczu lub mrozu! A obok nich uwija się bosonoga dziatwa, nie znająca wiosny dzieciństwa. Małoletnie te istoty, o wyglądzie skrofulicznym, oddychając pyłem węglanym, dzielnie dotrzymują towarzystwa swym matkom i siostrom. Po tej ciężkiej pracy kobiety i dzieci pokrzepiają swe siły suchym chlebem, popijanym niekiedy wódką. Pańszczyźniana praca, upokorzenie, troska, głód, choroba, ciemnota i wszelkie inne egipskie i nieegipskie plagi, — oto nici, z których los tka wzorzystą kanwę życia obywatela Górnego Ślązka. *U.*

Z estrady i sceny.

Odczyt J. Kotarbińskiego o sztuce aktorskiej.

Odczyt p. Józefa Kotarbińskiego, wygłoszony na rzecz kasy pomocy artystów teatru naszego pozostanie na długo miłem wspomnieniem dla inteligencyi naszej. Był on dla nas Poznańczyków rzadką i cenną sposobnością słyszenia rzeczy nowych, zajmujących, stanowiących istotny dla słuchaczy umysłowy nabytek.

Kotarbiński łączy w sobie wszystkie pożądane u prelegenta przymioty, głębokie i wszechstronne wykształcenie naukowe, umysł jasny i samodzielny, styl barwny i nieporównaną dykcyą. Mówiąc o wykładzie jego, niepodobna pominąć tej ostatniej zalety, gdyż ona znakomicie przyczynia się do uwydatnienia wszystkich innych. Głos dźwięczny, donośny a zarazem giętki o modulacyi subtelnej odtwarza wiernie każdy zwrot myśli, każde wrażenie i uczucie. Głos ten tłomaczący tak dobitnie treść wykładu jest sam przez się prawie argumentem, działa na słuchaczy jak sugestya, mimowoli ulega się jego wpływowi.

Nie to jednak jak mówił, ale to co mówił stanowi główną wartość jego wykładu. — Temat swój zgłębił autor wszechstronnie.

Praktyka sceniczna odsłoniła przed nim wszystkie tajemnice sztuki aktorskiej, jej stronę techniczną i psychologiczną, poważne studya naukowe dały mu obraz jej historycznego rozwoju i społecznego znaczenia.

Dzięki temu słuchacze obecni na jego odczycie mogli się dość dokładnie zapoznać z kwestyą zajmującą, ciekawą, a umiejętnie przedstawioną.

Krótki rys historyczny stanowił wstęp do wykładu: Widowiska teatralne będące

pierwotnie częścią obrzędów religijnych, powoli tylko zdobywają stanowisko odrębne. W niektórych społeczeństwach rozwój ten odbywa się samodzielnie, teatr odbija na sobie cywilizacyjny poziom i charakter narodu. U nas nie tak się rzeczy miały; nie wytworzyliśmy własnych form widowisk teatralnych, lecz gotowe przyjęliśmy od narodów zachodnich. Teatr polski był importem zagranicznym, przybył do nas wraz z obyczajem cudzoziemskim i cywilizacyą europejską. Jeżeli obejmiemy całość sztuki dramatycznej w pośród sztuk pięknych, naznaczyć jej musimy pierwszorzędne miejsce. Odtwarza ona życie najplastyczniej, najdobitniej, najsilniejsze też wywołuje wrażenie działając równocześnie na zmysł wzrok i słuch, na wyobraźnią, uczucie i umysł. Jednakże sztuka aktorska stanowi tylko cząstkę sztuki dramatycznej i bynajmniej naczelnego w niej miejsca nie zajmuje. Nie jest ona sztuką twórczą lecz sztuką wykonawczą; aktor w takim jest mniejwięcej stosunku do autora, jak wirtuoz do twórcy kompozycyi muzycznych. Mniejwięcej, gdyż i tego porównania zupełnie ściśle brać nie można; muzyk obejmuje całość danego utworu, artysta dramatyczny odtwarza tylko cząstkę, tylko jednę postać dramatu lub komedyi. Z tego względu właśnie prelegent nie godzi się na przyznawanie nawet najznakomitszym artystom dramatycznym miana geniuszu. Jakkolwiek psychologia nie określiła jeszcze dokładnie pojęcia geniuszu — ogólnie jednak używa się tego wyrażenia dla określenia pewnej twórczej potęgi ducha ludzkiego, potęgi, która wyprzedza rozwój umysłowy epoki toruje nowe drogi, otwiera nowe widnokręgi. Rola pomocnicza, zależna, sztuki aktorskiej nie daje pola do wykazania genialności w całem rozumieniu tego wyrazu. Odzywają się jednak w innym kierunku zapatrywanie skrajne, pragnące aktorom odmówić prawa do nazwy artysty. I z tem również zgodzić się nie można. Aktor, jak każdy inny artysta, dla spełnienia swego zadania koniecznie musi posiadać przedewszystkiem talent — i to talent nie pozbawiony pewnej twórczości, choć się ta ostatnia tylko w skromnym, ściśle ograniczonym zakresie rozwijać może. Jestto twórczość dopełniająca, służy ona do uplastycznienia myśli autora, do wykończenia jej i rozwinięcia nawet, jeśli typy wykonywanego utworu nakreślone są szkicowo. Od rysunku roli zależy mniejszy lub większy zakres działania wykonawców. — Jeżeli autor wykończył starannie postacie bohaterów swoich, jeśli je jasno w najdrobniejszych wyrzeźbił szczegółach, artysta najlepiej wywiąże się ze swego zadania, gdy jak najwierniej wskazówkom twórcy posłusznym będzie. We współczesnych, realistycznych dramatach najczęściej praca aktora na tem ograniczyć się może. — Są jednak w poezyi dramatycznej typy kreślone ogólnikowo, zaznaczone zaledwie szerokiemi rysami i te właśnie dają wykonawcom pole do rozwinięcia pewnej indywidualnej charakterystyki. Do takich np. należy rola Hamleta, którą w bardzo rozmaity sposób pojmować i odtwarzać można. — Dzięki owej twórczości dopełniającej udawało się niekiedy znakomitym aktorom zabłysnąć talentem nawet w drugorzędnych rolach lub utrzymywać na scenie utwory miernej wartości, jeśli tylko zawierały role dające pole do wykazania pewnego wirtuozostwa.

W skład talentu dramatycznego wchodzą różne psychologiczne czynniki. Elementarną jego podstawę stanowi zdolność symulacyjna, którą w stanie pierwotnym spotykamy już u dzieci, gdy w zabawach swoich odtwarzają czynności i ruchy osób starszych, udają gości, podróżnych, żołnierzy i t. d. — Dalej oprócz warunków zewnętrznych: głosu, ruchów, potrzebną jest intuicya, zdolność odczuwania różnych wrażeń, przejęcia się rozmaitością odtwarzanych sytuacyi, wreszcie wiara artystyczna, którą w wysokim stopniu posiadać muszą również talenty twórcze, a której przykładem wybitnym był Balzac. — Znaczenie tego pierwiastku uwydatnia znakomicie wyrażenie Żółkowskiego, który wzbraniając się przyjąć ofiarowanej mu roli mówił dla usprawiedliwienia się: „ja go nie widzę“.

Nawiasem dodamy, że nieudolność autora częstokroć stawia nieprzełamane zapory dobrej woli wykonawców. „Widzieć“ można tylko typy psychologicznie prawdziwe, a przynajmniej możliwe. Toczono nieraz spory i o to, czy wykształcenie potrzebne jest artystom dramatycznym. — Nie zastąpi ono niewątpliwie talentu, zdarza się za to naodwrót, że wielkie talenty umieją się ze swego zadania dobrze, a nawet świetnie wywiązać bez pomocy wykształcenia. Jednakże tylko na pewnym dość ciasnym repertoarze ról ograniczać się muszą ci, których wszechstronne wykształcenie zaniedbanem zostało. Do takich samorodnych talentów zalicza prelegent Żółkowskiego, którego kreacye publiczność warszawska długo pamiętać będzie, choć istotnie nie wychodziły one poza zakres pewnego rodzaju typów komedyi. — Nawiasem zauważymy, że sprawozdawca „Kuryera Poznańskiego“ zupełnie zbytecznie broni Żółkowskiego wobec prelegenta, sądząc, iż tenże zarzucał mu egoizm i głupotę. Pan Kotarbiński twierdził, iż niezapomniany ulubieniec warszawskiej publiczności był znakomitym *przedstawicielem* egoizmu i zadowolnionej ze siebie głupoty na scenie, a ktokolwiek widział Żółkowskiego w jego najlepszych rolach, w komedyach Fredrowskich np. — ten bezwarunkowo na określenie to zgodzić się musi. — Bardzo trafnie scharakteryzował p. Kotarbiński różne współczesne talenta sceniczne, przypominając ich najznakomitsze kreacye. Zauważył słusznie, iż sztuka aktorska więcej niż którakolwiek inna ze sztuk pięknych, więcej niż sama literatura dramatyczna — jest narodową. Już właściwości języka wpływają na odmienną dykcyą, odmienny sposób interpretacyi u różnych narodów; temperament rasowy przyczynia się do pogłębienia różnic.

Gdy mowa o teatrze, spotkać się można z bardzo sprzecznemi poglądami. Jedni radzi w nim widzieć świątynię, szkołę moralności, dobrych obyczajów, przybytek ideałów narodowych, inni uważają go za rodzaj budy jarmarcznej, służącej wyłącznie do zabawy, podsycającej zdrożne lub nizkie instynkta. Oba te pojęcia krańcowe są błędne. Słusznie bardzo prelegent zaznacza, iż sztuka i moralność rozwijają się niezależnie i mają całkiem odrębne pole i zadanie. Nie należy też wymagać od teatru, aby stawiał sobie wyłącznie etyczne zadania.—Słusznem jest może twierdzenie, iż sztuka dramatyczna podsyca namiętności, namiętność jednak nie jest bynajmniej pogardy godnym w społeczeństwie czynnikiem. Bez namiętności nie byłoby ani życia, ani walki i ruchu, ani rozwoju. Teatr dążący do właściwych sobie, wyłącznie estetycznych celów, spełnia w każdym razie bardzo ważną cywilizacyjną misyą i nie będąc szkołą moralności, jest w każdym razie instytucyą pożyteczną, uspołeczniającą.

Odwrotną stronę medalu stanowi życie zakulisowe, mające wiele stron mniej ciekawych. Każda biesiada, jak dowcipnie prelegent zauważył, piękniej przedstawia się w jadalni niż w kuchni, ktoby zaś zechciał zajrzeć do kuchni polityki, dziennikarstwa itd., zapewne równie mało budujące jak za kulisami odniósłby wrażenie.

Autor zakończył wzmianką o roli kobiety w teatrze. Scena jest może jedynem polem, na którem kobieta nietylko zupełne osiągnęła równouprawnienie, lecz może nawet większe niż mężczyzna ma szanse. Aktorki kolegom swym dorównywają talentem, często przewyższają ich nawet, co zawdzięczają zapewne swej naturze kobiecej, giętkiej, wrażliwej, uposażonej większą zdolnością udawania. Pracowitością również odznaczają się kobiety w teatrze, co przypisać można w najczęstszych wypadkach raczej ambicyi niż miłości do sztuki. Zawód sceniczny z trudnością godzić może kobieta ze spełnieniem swego powołania w rodzinie. Byłoby też niesprawiedliwością stawiać artystkom pod względem specyalnie kobiecej moralności zbyt surowe wymagania. — Zważywszy same warunki ich pracy, ciągłe podniecenie nerwów, konieczność zawodową podobania się i wzbudzania zachwytu, nie należy się dziwić, jeśli w życiu prywatnem nie zawsze ściśle się trzymają panujących reguł obyczajowych — jeśli zaś tylko szczerze miłują sztukę, są dobremi koleżankami i obywatelkami kraju, nie powinno się im odmawiać szacunku. —

Na zakończenie zadeklamował artysta ustęp z pięknego wiersza Asnyka, poświęconego Helenie Modrzejewskiej. Publiczność dziękowała gorącemi oklaskami.

I. Moszczeńska.

(*Występy Józefa Kotarbińskiego: „Marco Spada“, „Hrabia Essex“, „Romeo i Julia“.*)

Szanowny Redaktorze!

Żądasz odemnie sprawozdań z dalszych występów Kotarbińskiego. Posłuszny będę Twemu życzeniu, bo chociaż nie próbowałem dotychczas sił moich w krytyce teatralnej, to wiem aż nadto dobrze, że nie święci garnki lepią, zwłaszcza w Poznaniu. Naturalnie przyjąć musisz te pierwociny zdolności czy nieudolności mojej krytycznej z dobrodziejstwem inwentarza i nie szukać w nich głębokości poglądów Lemaitre'a ani wytrawności sądu Sarcey'a.

Rozpocznę mój „maid-speech“ od nowości, od „Marka Spady“ Rovetty. Przypominasz sobie, że nie raz rozwodziliśmy się nad Girolamem Rovettą, najwybitniejszym reprezentantem włoskiej szkoły werystów i zgadzaliśmy się na to, że jego „Nieuczciwych“ („Il disonesti“) zaliczyć wypada do najwybitniejszych płodów współczesnej realistycznej literatury dramatycznej. O całe niebo niżej od „Nieuczciwych“ stoi „Marco Spada“. Sztuka ta sprawia więcej wrażenie felietonu dziennikarskiego lub nowelki niż dramatycznego obrazu. Same niewykończone, szare kontury, bez nerwu i życia, bez właściwej akcyi i rozwiązania.

Muszę Cię jednak, choć w ogólnych tylko zarysach, zapoznać z treścią tej nowości. Bohatera do swego utworu wyszukał sobie Rovetta w świecie dziennikarskim. (Widocznie stajemy się „hoffähig“, przynajmniej we Włoszech.) — Dziennikarza tego zaszczyca swą „przyjaźnią“ margrabina Julia Dalga. - Szczęśliwi ci włoscy nasi koledzy! — Co prawda oprócz Marka Spady piękna margrabina obdarza swemi względami całą galeryę osobników; w ogóle każda jednostka płci brzydszej, choć — sit venia verbo — silniejszej, zjawiająca się w domu Julii Dalga, staje się jej kochankiem. Z tego stosunku miłosnego pomiędzy dzielnym, pełnym zapału i poszanowania dla swego zawodu i swej godności osobistej publicystą a ladacznicą z wyższego świata wysnuwa się konflikt dramatyczny, o ile o konflikcie w sztuce Rovetty może być mowa. Sam motyw choć niezupełnie nowy, jednak nadzwyczaj wdzięczny. Nie wyzyskał go zbyt szczęśliwie włoski werysta, rozdrabniając zapowiadającą się tak obiecująco akcyę na mnóstwo oboje-

tnych, banalnych szczegółów, pomiędzy któremi jedynie walka redaktora z wydawcą, pracy z kapitałem, kończąca się naturalnie kompletną porażką pracy, wzbudzić może cokolwiek żywszy interes i to w specyalnych tylko sferach.

Nie brak w „Marku Spadzie“ żywiołu tragicznego. Bohater odtrącony przez swą margrabinę, której w poczuciu dziennikarskiego obowiązku obronić nie chciał przed skandalem, upada także w walce z politycznymi przeciwnikami, odmawiającemi mu jako mniemanemu oszczercy honorowej satysfakcyi i pozbawiającymi go środka obrony, nabywając jego dziennik od szubrawca wydawcy. Upadek ten jednak bohatera nie rozczula ani przekonywa widza, za mało jest umotywowany; a co ważniejsze, przyczyna wywołująca katastrofę grzeszy wołającą o pomstę banalnością.

Jednej jednak i to poważnej bardzo zalety trudno odmówić ostatniej nowości naszej sceny. Rovetta nie darmo zalicza się do wybitnych werystów. Sztuka jego odznacza się prawdą. Bezbarwny to, pospolity szmat życia, który roztacza przed naszemi oczyma ale prawdziwy. Bezbarwną i pospolitą jest w największej liczbie wypadków rzeczywistość. Nie wolno zaś zmuszać autora, aby budował swe utwory na wypadkach wyjątkowych. Prawdą tchnie zarówno tło, jak ożywiające je figury. Sądzę, że z figur tych zainteresuje Cię przedewszystkiem główna postać kobieca. Bardziej jednolity charakter mężczyzny narysuje jako tako i średnich zdolności autor dramatyczny. Stanowiący główną cechę talentu dramaturga dar obserwacyi i zdolności ucieleśnienia swych spostrzeżeń na scenie ujawnia się głównie w rysunku psychologicznym tak niepochwytnego, skomplikowanego charakteru kobiety. Mało kto pozna dokładnie kobietę; a wyjątkowi tylko autorowie zdobywają się w swych utworach na zgodny z prawdą jej wizerunek.

Margrabina Julia jest kobietą-demonem. Nie oznaczałoby to zbytniej oryginalności autora. Mniej lub więcej demonicznych kobiet przesunęła się zwłaszcza w ostatnich czasach cała armia przed naszemi oczyma, Bohaterka Rovetty z tego jednak względu przewyższa większą część efektowniejszych może swych poprzedniczek, iż jest daleko prawdziwszą, bo wykazuje wszelkie cechy demonaladacznicy. W życiu zaś niepodobieństwem jest prawie pociągnąć granicę, gdzie się u kobiety kończy demoniczność, a zaczyna łajdactwo.

Czas jednak największy zakończyć te rozprawy moralne. Być może, że zalety dramatu Rovetty uwydatniłyby się lepiej, i w ogóle cała sztuka przedstawiła się w daleko korzystniejszem świetle, gdyby jej wykonanie na naszej scenie nie było tak fatalne. Tego rodzaju utwory, ubogie w momenty jaskrawe, rzucające się samo z siebie w oczy i umysł widza, wymagają koniecznie długiego i mozolnego przygotowania, starannego wystudyowania każdej sytuacyi, każdego niemal słowa. Lepiej nie dawać ich wcale, jeżeli się nie ma czasu ani możności do sumiennej ich wystawy.

Występ Józefa Kotarbińskiego w roli tytułowej „Marka Spady“ nie był zbyt fortunny. Artysta to niepospolity ale w kostyumie, w roli bohatera tragedyi. Filisterski tużurek krępuje widocznie jego wspaniałe, bohaterskie gesty tak samo, jak filisterska atmosfera współczesnego domu nie pozwala mu wyzyskać należycie niezrównanych zalet dykcyi, domagającej się przestrzeni, olbrzymich, sklepionych sal królewskich... Przyznajemy chętnie, że artysta położył nie mało starań, aby widzów natchnąć właściwem życiem, aby uczynić możliwie zbliżonym do prawdy swego bohatera. Wysiłki te jednak poszły na marne. Jego Marco Spada ani w części nie dorównywał Hamletowi, Urielowi lub Esseksowi.

Gra p. Vernon w roli margrabiny Julii była nierówna. Ta artystka jest kokietką, lecz tylko kokietką. Wszystko — budowa, twarz, oczy, temperament, finezya, wskazują jej role kokieteryjne jako wyłączny zakres działania. Tymczasem rola Julii przepełniona jest wysoce dramatycznemi akcentami, domagającemi się siły, którą w dostatecznym stopniu nie rozporządza p. Vernon. Nie przynosi to zresztą żadnej ujmy artystce, nie każdy bowiem jest geniuszem uniwersalnym. Nie chcę jednak stawiać zarzutów gołosłownych. W akcie, jeśli się nie mylę, trzecim, jest scena, w której margrabina wypędza ze swego domu kochanka. Otóż przynajmniej moja małość, znajdując się w położeniu Marka Spady, nie usłuchałaby tego rozkazu, gdyby przedmiot mych gorących afektów wskazywał mi drzwi w tak mało stanowczy i mało przekonywający sposób, jak to uczyniła p. Vernon. Swoją drogą przyznać trzeba, że sceny czysto kokieteryjne odegrała p. Vernon znakomicie.

„Les extrêmes se touchent“. Świat cały oddziela „Marka Spadę“ Rovetty od „Esseksa“ Laubego. Tu prawda bez systemu, tam system bez prawdy. Tu wierny, choć bezładny i niewykończony obraz życia, tam szumnym lecz pustym patosem przepełnione wspomnienia dziejowe. Rola jednak tytułowa w sam ras przykrojona dla Kotarbińskiego. Owiany mgłą średniowiecznego romantyzmu bohater tragedyi Laubego w świetnej interpretacyi niepospolitego artysty porywał formalnie widzów; już na zewnątrz dzięki mistrzowskiej charakteryzacyi sprawiał wrażenie germańskiego bożka lub normandzkiego zdobywcy krajów i serc kobiecych. Rolę Esseksa zaliczyć wypada do najlepszych w repertoarze Kotarbińskiego. Najefektowniejszą jest bezwarunkowo, pozwala mu bowiem w głównych scenach szafować do woli bogactwem wspaniałego organu, jakim go obdarzyła przyroda, a przytem z niezrównanym artyzmem odtworzyć doskonały obraz mezkiej siły i energii. Siła zaś stanowi, zdaniem mojem, główną, najwybitniejszą cechę talentu Kotarbińskiego.

Lecz nie sama tylko siła! Jako Romeo zdobywał się artysta na akcenty rzewnej tkliwości. W scenach miłosnych z Julią drgała w jego głosie cała skala uczuć, począwszy od nieśmiałej prośby, a skończywszy na namiętnem pożądaniu. Klasyczny bohater miłości w grze znakomitego artysty nabrał wszelkich cech prawdy, był stylowym, a mimo to i dla dzisiejszej generacyi zrozumiałym kochankiem.

Servus.

KRONIKA LITERACKA

* **Nowe pisma w Galicyi.** Czytamy w „Kraju“ petersburskim:

„Związek literacki“ nietylko się zreorganizował na nowo, nietylko powiększył znacznie liczbę swych członków, nietylko przeniósł się do lokalu dogodniejszego, ale postanowił zrobić ważny krok naprzód na polu swej działalności. Już na pierwszym zjeździe literatów w Krakowie w r. 1883 poruszono myśl wydawnictwa pisma ściśle informacyjno-literackiego, Macosze traktowanie literatury prz z dziennikarstwo galicyjskie myśl tę utrzymywało ciągle na powierzchni. „Związek“ postanowił ją przeprowadzić i już od Nowego Roku wychodzić będzie jego nakładem miesięcznik p. t. „Przegląd Literacki“. Oprócz artykułów, rzucających światło na rozwój, kierunek i potrzeby naszej literatury, najważniejszą rubrykę nowego pisma stanowić będą krótkie informacyjne sprawozdania, o ile możności ze wszystkich dzieł literackich, ukazujących się w naszym języku. Zaniedbana w ostatnich czasach w „Kwartalniku Historycznym“ bibliografia czasopism ma odżyć na nowo w łamach „Przeglądu“. Osobny dział informacyjny będzie skrzętnie notował biograficzne i bibliograficzne wiadomości, prace dokonane i przedsięwzięte. Prócz tego znajdzie się miejsce na rubrykę dla literatur słowiańskich, któremi tak mało dotychczas się zajmujemy. Redakcyę „Przeglądu„ obejmie p. Roman Zawiliński, a współpracownictwo przyrzekł prawie cały świat literacki krakowski. Pismo to powinni wogóle popierać i wiadomościami zasilać wszyscy nasi literaci, ażeby się stało obrazem naszego ruchu literackiego. Przysyłanie wiadomości literackiej lub krótkiego objektywnego sprawozdania z jednej lub paru książek, nie zabierze nikomu dużo czasu, a przyczyni się do podniesienia wartości pisma. Ponieważ dzienniki i pisma perjodyczne wogóle będą mogły korzystać z materyału dostarczanego im przez „Przegląd“, przeto redakcye we własnym interesie powinny go popierać moralnie. Tak samo i wydawcy będą mieli interes w dostarczaniu „Przeglądowi“ swych nowości, gdyż ten poniekąd stanie się pośrednikiem pomiędzy nimi a publicznością.

Wogóle na polu wydawniczem zapowiada się pewien ruch w Krakowie. Oprócz „Dziennika Porannego“, który już rozlepił plakaty, obwieszczające, iż zacznie wychodzić od d. 1 grudnia, rozeszły się pogłoski o założeniu dziennika przez grono finansistów. Zdaje się także być pewnem, że z Nowym Rokiem rozpoczną swój żywot „Kłosy“ pismo tygodniowe ilustrowane, coś w rodzaju „Biesiady Literackiej“, z większym naciskiem na aktualność. „Kłosy“ mają być wydawane przez spółkę literacko-artystyczną, której ostateczna organizacya jest już kwestyą tylko kilku dni czasu. Natomiast ma zejść z widowni „Krakus“, pismo dla ludu, wychodzące od czterech lat nakładem akcyonaryuszów spółki wydawniczej. „Krakus“ rozpoczął swój żywot od 1200 prenumeratorów, zdawało się więc, iż w ciągu paru lat stanie się najwięcej poczytnem pismem ludowem. Tymczasem liczba prenumeratorów nietylko nie wzrastała, ale spadła do 600, a pismo (nie poruszam przyczyn) stało się przez lud prawie znienawidzone. Upadek „Krakusowi“ ułatwi mające powstać inne pismo ludowe, pod egidą i pod redakcyą duchowieństwa. Jeżeli przyjdzie ono do skutku, będzie mógł „Krakus“ wycofać się z honorem, to jest, będzie mógł napisać: ponieważ pismo w tymże samym duchu i kierunku powstaje, przeto niechcąc mu czynić konkurencyi, ustępuję dobrowolnie z placu.

* **Niemcy a siódme przykazanie.** Sporo przez 25 lat napisano o skrzętności Niemców w gromadzeniu „pamiątek“ podczas kampanii 1870 r. Wskutek tego pisania dobrze też wiedzieli mieszkańcy tak Europy, jak Ameryki, oraz innych części świata, czytającą ludność posiadających, że po ukończeniu wojny, można było w państwie „miłości bożej i dobrych obyczajów“ założyć kilkanaście sklepów z samemi li tylko pamiątkowemi zegarkami. Tak przynajmniej głosiła fama, a famie tej zdobywcy Paryża procesu za oszczerstwo nie wytaczali.

Ale czego nadto, to i za dużo. Przez 25 lat cierpliwie znoszono zegarkowe podejrzenie, dopóki francuzki jenerał, Munier, nie wygadał się drukiem, że tam komuś po wizycie pruskiego oficera zabrakło w szufladach bielizny. Z oburzenia zawrzało nad Sprewą, jak w ulu. A ty taki, owaki, wołano na francuza i żądano akcyi dyplomatycznej, aby zamknąć raz na zawsze usta niegodziwcowi. Wreszcie uspokojono się, gdy urzędowo zawiadomiono pruskich patryotów, iż obrażać się nie potrzeba, bo ów

Munier, to zwykły szubrawiec, skazany już raz przez sądy francuzkie za oszczerstwo. I nastała cisza — jutrzenka radości weszła na oblicza germańskie.

Są jednak niemcy tacy i tacy. Do rzędu tych ostatnich należy znakomity historyk Karol Bleibtreu, który bynajmniej się nie czuje pokrzywdzony w swych patryotycznych uczuciach, jeżeli któremu z jego rodaków udowodnią, że jest zwolennikiem teoryi przenoszenia cudzych ruchomości do własnej kieszeni. P. Bleibtreu sądzi, iż takich teoretyków znaleźć można pod każdym stopniem szerokości geograficznej, a więc i w jego niemieckiej ojczyźnie. Jego własny ojciec, znakomity malarz, był naocznym świadkiem w r. 1870, jak niektórzy członkowie armii pruskiej czynnie protestowali przeciw siódmemu przykazaniu. Również pastor Klein, chociaż niemiec, opisując bitwę pod Wörth, nie zachwycał się poszanowaniem przez niemców cudzej własności. Dla czego więc, mówi Bleibtreu, miałby Munier kłamać, zwłaszcza, iż zaczerpnął fakt z doniesień urzędowych. Prawda, że skazano go raz za oszczerstwo, ale wyrok go nie hańbi, bo ten, którego dotknął swem słowem, okazał się wkrótce w sprawie panamskiej większym łotrem, aniżeli sam Munier przypuszczał.

Ta obrona Munier'a przez Bleibtreu'a jest zaiste więcej zaszczytną dla niemców, niż szowinistyczne krzyki, jakie podnieśli przeciw francuzkiemu jenerałowi.

* **Słówko o Hulewiczu.** Do licznego zastępu nazwisk polskich mniej lub więcej już znanych w literaturze cudzoziemskiej, przybyło nowe p. Kaz. Hulewicza. Nazwisko to coraz częściej w ostatnich paru latach pojawia się na szpaltach francuzkich czasopism, otoczone promiennym nimbem paryzkiej krytyki bulwarowej. Mamy obecnie przed sobą *„Paradoxal"* prześlicznie wydany u L. Sauvaitre'a, 300-stronnicowy tom nowych i dawniejszych utworów p. H., z portretem autora na czele. W poprzedzającej to dziełko przedmowie, p. Charles Fuster tak się odzywa o swym koledze po piórze: „Wizje somnambuliczne, zarazem pełne gwałtowności i rezygnacyi stwierdzają przynależność p. H. do jego rasy. Głęboki podziw jednak jego dla geniuszu naszego kraju, mistrzowstwo, z jakiem włada naszym językiem, nadają mu prawo zaliczenia się do prawdziwych poetów naszych".

W pierwszej części dzieła, noszącej tytuł *„Paradoxal"*, przeniesiony na całą książkę, znajdzie czytelnik wszystkiego potrosze: zręczna djalektyka i paradoksalność przeplata się tu z fantazyą poetyczną, najdelikatniejsza finezya stylowa przechodzi nieraz w ryzykowną śmiałość wyrażeń, a myśl obleka się w tak dwuznaczne formy, iż spostrzedz granice między powagą a żartem nie zawsze łatwo. Dalszą część książki wypełniają dawniej już wydane utwory p. H. *„Passionnel"*, *„Suprême folie"*, *„La morte"* znane z dawniejszych wzmianek o nich w „Kraju". Pozostaje jeszcze przytoczyć wyjątek z wyjaśnienia, jakie p. H. przesyła w odpowiedzi na pytanie Alfonsa Daudet'a: dlaczego dla wyrażenia swych myśli, obcą posługuje się mową?

„Si j'écris le francais — et je l'écris bien mal —
C'est qu'on l'a ciselé d'azur et de cristal".

Zazdrościć francuzom p. Hulewicza, dotąd jeszcze chyba nie mamy dostatecznej podstawy, w każdym razie jednak szkoda dla samego p. H., że owych lazurów i kryształów nie może się dopatrzyć w swej ojczystej mowie.

* **Dr. Asmus Soerensen.** Dnia 22 października rb. habilitował się w uniwersytecie lipskim jako docent prywatny p. dr. Asmus Soerensen, dotychczasowy nauczyciel w szkole przemysłowej w Kamienicy saskiej (Chemnitz). Jako pracę habilitacyjną ogłosił rozprawę pod tyt.: „Entstehung der kurzzeiligen serbo-kroatischen Liederdichtung im Küstenland", — a na pierwszą lekcyą wstępną wybrał temat: „Der polnische historische Roman der Gegenwart".

P. dr. Asmus Soerensen pracuje od dłuższego czasu nad gramatyką polską, która obejmować będzie około 30 arkuszy druku, a na którą przyjmuje prenumeratę w ilości 6,50 m. Publiczność polska powinna poprzeć to wydawnictwo liczną prenumeratą.

P. dr. Soerensen miał prócz tego zamiar wydawania w języku niemieckim kwartalnika poświęconego sprawom polskim („Polnische Revue"), nie znalazłszy atoli dostatecznego poparcia u samych Polaków, postanowił „Przegląd polski" zamienić na „Przegląd Wschodnio-europejski" („Osteuropäische Revue"), który ma zamiar wydawać od 1-go stycznia 1897 r. w kwartalnych zeszytach po 10 arkuszy druku za roczną prenumeratą 12 mr. I to wydawnictwo powinno z naszej strony doznać sympatycznego przyjęcia i gorącego poparcia, bo p. dr. Soerensen daje gwarancyą, że „Przegląd" swój redagować będzie bezstronnie i bez uprzedzenia dla spraw słowiańskich, a szczególnie dla spraw polskich. Interes nasz wymaga, aby świat niemiecki mógł się o nas informować z bezstronnego, a umiejętnie kierowanego czasopisma. *Z. C.*

* **Der Militarismus im Deutschen Reiche.** Eine Anklageschrift von einem deutschen Historiker. Stuttgart. Robert Lutz. 1895.

Krytyka militaryzmu, choćby ze stanowiska demokratycznej burżuazyi, jest zawsze pożądanym objawem. Professor Quidde, głośny onego czasu autor broszury „Caligula", która w Niemczech całych wywołała ogromną sensacyę, uskutecznił obecnie nowe wydanie swej broszury, ogłoszonej w czasach, kiedy to w parlamencie niemieckim toczyła się walka przeciw wojskowym przedłożeniom. Wydanie to dawniejsze rozszerzył autor, cytując oprócz dawniejszych faktów, świadczących o rozbestwieniu istniejącem w armii, fakta świeżej daty. Mówi autor o braku prawa uskarżania się, o barbaryńskiej sprawiedliwości wojskowej i t. p. Zajmujące są również uwagi autora o demoralizującym wpływie rezerwowych oficerów na urzędników cywilnych, które naturalnie nie tylko ma miejsce w Niemczech, ale także i gdzieindziej. Autor stoi na stanowisku takiem, jakie w ogóle zajmuje demokratyczna burżuazya względem militaryzmu.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Znana publiczności poznańskiej śpiewaczka p. Marta Jankowska zaangażowana została do opery lwowskiej. Śpiewaczka ta występowała w najświeższym czasie z wielkiem powodzeniem w operze królewskiej w Berlinie. — P. Józef Kotarbiński zamierzał wystąpić na poznańskiej scenie w cennym utworze Brandesa p. t. „Odwiedziny". Dyrekcya jednak nie zgodziła się na wystawienie głośnej tej sztuki, ze względu na „drażliwość" jej treści. — W Warszawie odegrano z świetnem powodzeniem czteroaktowy dramat A. Konara p. t. „Gąsienice." — Według zapowiedzi przedsiębiorcy teatralnego Abbey Gran wchodzą do trupy nowojorskiej oprócz braci Reszków następujące artystki: Marcelina Sembrich-Kochańska, Georgina Januszewska (sopran) i Róża Olicka (mezzosopran). — Na scenie lwowskiej debiutowali z powodzeniem p. Janina Jankowska i p. Michał Tarasiewicz. — P. Zygmunt Przybylski uscenizował śliczną nowellę Sienkiewicza p. t. „Ta trzecia".

W sprawie dra. Gałęzowskiego. O zachowaniu się dra. Gałęzowskiego wobec Wszechnicy Jagiellońskiej tak się wyraża warszawska „Gazeta Lekarska": Czy słusznie postąpiła wszechnica Jagiellońska, chcąc powierzyć katedrę prof. Gałęzowskiemu, rzecz to osobistego poglądu. Według naszego zdania nie był to pomysł szczęśliwy, bo katedra wymaga sił młodych, świeżych, niezużytych, a prof. Gałęzowski, lubo jest lekarzem wielkiej wziętości w praktyce, wielkiego powodzenia, nie mógłby już dzisiaj z dostatecznym zapałem i energją wziąść się do spraw nauczania i sprawie tej najlepsze swe siły poświęcić. Że sam prof. Gałęzowski przerachował się ze swemi siłami, mamy najlepszy w tem dowód, że zmniejszając stopniowo swą ofiarność, poświęcić chciał wykładom w Krakowie tylko kilka tygodni i to wakacyjnych.

Kiedy ostatecznie układy się rozbiły i spełzły na niczem, zdawało się, że prasa w imieniu społeczeństwa żal ku prof. Gałęzowskiemu i pewną obrazę wyrazi. Stało się ku wielkiemu naszemu zdziwieniu zupełnie przeciwnie. Nie tylko prasa brukowa, ale i pisma poważniejsze potępiły nie prof. Gałęzowskiego, ale wszechnicę. Więc nie człowiek do sławnej szkoły, ale szkoła do niego ma się przystosować; więc ograniczyć należy wykłady bardzo ważnego przedmiotu do czasu zupełnie niewystarczającego, zmienić ustawę i zwyczaje szkolne, studentów podczas wakacji w mieście przetrzymywać, dobierać pomocników na resztę semestrów aby tylko zachować pozór wykładów prof. Gałęzowskiego? Zdaje się, że w każdym razie wszechnica Jagiellońska przyniosłaby więcej zaszczytu prof. Gałęzowskiemu, mianując go swoim professorem, aniżeli on kiedykolwiek zdołałby jej przynieść. —

Na zakończenie dodamy, że zupełnie niewłaściwym wydał się nam adres, jaki młodzież wszechnicy do Gałęzowskiego wysłała, aby go ostatecznie nakłonić do przyjęcia katedry, adres, który, rzecz prosta, skutku spodziewanego nie przyniósł. Adresem tym młodzież ubliżyła sobie, bo młodzież ucząca się może chylić czoła tylko przed wielką potęgą myśli, albo przed wielkiem poświęceniem, wielkiemu powodzeniu hołdów nieść nie powinna.

— **Dla Księgarzy.** W Warszawskim „Przeglądzie tygodniowym" czytamy: Księgarze warszawscy skarżą się coraz więcej na brak uzdolnionych pomocników i w ogóle na obniżenie poziomu wykształcenia wśród młodych pracowników księgarskich. Skoro się skarżą, więc tak też być musi, ciekawą wszelako byłoby rzeczą dociec przyczyn owe narzekania wywołujących. Spróbujemy je wyszukać. Fach księgarski w branży kupieckiej tworzy tak odrębną gałąź, że wymaga wyłącznego raz na zawsze poświęcenia się tej pracy. Trudno być także dobrym księgarzem bez podstaw więcej, niż średniego wykształcenia. Rothner, słynny pisarz w tej materyi, nazywa księgarza „pośrednikiem pomiędzy nauką a życiem" i w słowach tych jest niewątpliwie dużo racyi. Jednakże do tego „pośrednictwa" trzeba czegoś się nauczyć. W naszych warunkach, dobra znajomość czterech języków jest dla pomocnika księgarskiego prawie niezbędną, nie mówiąc już o tem, że bez znajomości literatury (a przynajmniej bibliografii) także obejść się nie można. W mniejszych księgarniach, gdzie dział nut nie posiada specyalistów, wymagana jest również pewna rutyna. Dojść do tego nie jest łatwo; wielu potrzeba lat mozolnej pracy, ażeby ten cel osiągnąć. Jakiż jednak będzie tego rezultat, prócz zadowolenia kupującego i właściciela księgarni? Materyalnie — żaden. Roczne wynagrodzenie takiego mola nie przeniesie 600 do 720 rubli, przy dziesięciogodzinnej pracy. Pomocników, otrzymujących więcej niż 1,000 rs. rocznie, można w Warszawie na palcach jednej ręki policzyć. Czyż więc się dziwić, że młodzieniec z sześcioklasowem (najniżej) wykształceniem, ze znajomością języków, woli obrać inny zawód, w którym dojść może do daleko znośniejszego bytu? Nam to wydaje się jasne! Dlatego też, zamiast skarg, uważalibyśmy za jedyną drogę wyjścia podniesienie wynagrodzenia, pozbycie się nieużytków i zostawienie uczniom księgarskim kilku bodaj godzin tygodniowo do uzupełniania swego wykształcenia. Innej drogi wyjścia nie widzimy.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **N. 100 N.** Nie otrzymaliśmy ani listu ani gazety.

— **Bronisław S.** Polecam „Zarys najnowszej literatury polskiej" Piotra Chmielewskiego. Wydanie trzecie. — Denuncyacya zamieszczona w wiadomem piśmie nie uszła uwagi naszej; zdaje nam się jednak, że korzystniej jest sprawy nie rozmazywać.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników naszych nie zbierających kompletu pisma naszego uprzejmie i usilnie prosimy o łaskawe odstąpienie nam następnych numerów pisma.

rok I nr. 17. } *po 2 egz.*
rok II nr. 37, 42, 43, 44.

Za każdy numer administracya zapłaci 30 fenigów i zwróci koszta przesyłki.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.